CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 9 Października 1938 R. NR. 39-40

Pozytywne cele pokoju

Pomiędzy pierwszymi scenicznymi utworami Szekspira jeden znany jest pod tytułem „komedia pomyłek". Motyw pomyłek w twórczości Szekspira występuje jednak i później dosyć często. Przeważnie jednak jest przyczyną powikłań i rozwiązań tragicznych.

Europa w ubiegłych tygodniach bliska była decyzyj, które w rezultacie mogły się stać początkiem wielkiej „tragedii pomyłek". Istotą tej tragedii byłoby niezmierne pomieszanie celów i działań poszczególnych jej uczestników. Po uprzednim uznaniu zasadniczej słuszności postulatu rewindykacyjnych żądań niemieckich wojna europejska byłaby tragiczna nie tylko przez liczbę ewentualnych ofiar, lecz przede wszystkim przez zasadniczy brak celów pozytywnych, proporcjonalnych do sił i środków wprowadzonych do akcji. Szczególnie jeśli chodzi o Anglię i Francję, o których stanowisku piszemy obszerniej na innym miejscu, to momentem decydującym o chęci uniknięcia za wszelką cenę wojny mógł i musiał być lęk nie tylko przed ofiarami i skutkami walki, lecz nawet i przed skutkami ewentualnie osiągniętego zwycięstwa. Wojna mogła dać rezultaty militarne. Niesłychanie trudno — inaczej niżeli w roku 1919 — byłoby przetworzyć je w pozytywne osiągnięcie polityczne. I to był bodajże moment bardzo istotny, decydujący o tym, że Europa uniknęła wojny.

Ofiarą pokojowego rozwiązania sytuacji europejskiej padła Czechosłowacja w jej postaci wytworzonej przez Traktat Wersalski. Dalecy jesteśmy od chęci lekceważenia momentów tragicznych, tkwiących w tym rozwiązaniu. Niemniej jednak nie możemy zamykać oczu na podkreślany już parokrotnie fakt, że w dotychczasowej sytuacji Państwa Czeskiego istniały momenty zasadniczej nietrwałości wytworzonego przed laty dwudziestu stanu.

Czechosłowacja padła ofiarą nie tylko dzisiejszego układu stosunków politycznych, dającego Niemcom możność wywierania wielkiego nacisku politycznego i militarnego, lecz i daleko idącej sprzeczności pomiędzy charakterem wytworzonego po wojnie światowej Państwa Czechosłowackiego i zasadniczym układem współczesnych stosunków. Państwo w dobie tworzenia oparte zostało bardzo szeroko o dwie zasady: zasadę największego uprzywilejowania oraz — w innych wypadkach dość deprecjonowaną — zasadę praw historycznych. Zasady te nie mogły być dostatecznym elementem współczesnej spójności. Z tego zdawano sobie sprawę już i przed laty dwudziestu. Sądzono jednak, że takim elementem spójności może się stać oparcie o pewien porządek międzynarodowy, którego wyrazem były postanowienia Traktatu Wersalskiego, Liga Narodów, rozwój zasadniczych form prawnej struktury stosunków międzynarodowych, przynajmniej na terenie Europy.

Obliczenia te okazały się zawodne. Żaden z międzynarodowych czynników nie okazał się dostatecznie silny i trwały. Rozpoczęła się gra sił realnych, między którymi jedno z głównych miejsc zajął systematyczny wzrost znaczenia dążeń narodowych. Sytuacja Czechosłowacji komplikowała się stale. Po realizacji Anschlussu parcie stało się nie do zniesienia, tym bardziej, że dotyczyło wszystkich odcinków granicy czechosłowackiej i łączyło się z równoczesnym silnym ruchem odśrodkowym ze strony połowy ludności państwa. Systematyczne przezwyciężanie tego rodzaju trudności stało się ponad wewnętrzną wytrzymałość Czechosłowacji. W rezultacie rozwiązanie dotychczasowej sytuacji musiało być co najwyżej kwestią czasu.

Nie będziemy powracali tutaj do zagadnienia naturalnej i nieuniknionej w tego rodzaju warunkach konieczności wysunięcia ze strony Polski kwestii jej praw i interesów. Jeden odcinek — szczególnie ważny nie tylko z rzeczowego, lecz i z uczuciowego punktu widzenia — został załatwiony. W stosunku do Śląska Zaolzańskiego dziś już najważniejszym momentem jest nasza własna zdolność do faktycznego zespolenia tego terenu z całością Państwa, nie tylko istniejącym z natury rzeczy poczuciem łączności narodowej, nie tylko planowym podejściem do wszystkich zagadnień administracyjnych, kulturalnych i gospodarczych tego terenu, lecz nade wszystko naszym dorośnięciem do wytworzenia w całości tamtejszego społeczeństwa potęgującego się uczucia radosnej dumy ze skutków powrotu do całości narodowego i państwowego pnia Polski. To jest zadanie dziś dla nas szczególnej zupełnie wagi. W tym wypadku, bardziej niżeli w jakimkolwiek innym, słuszne jest zdanie Mickiewicza, że rozszerzenie granic musi iść w parze z rozszerzeniem i polepszeniem duszy Narodu.

Lecz załatwienie sprawy Śląska Zaolzańskiego nie jest równoznaczne z załatwieniem wszystkich interesujących nas w danym wypadku spraw. Pomijając już ważne ze wszech miar zagadnienie naturalnych i uzasadnionych korektyw terytorialnych i na innych odcinkach naszej dotychczasowej granicy, przede wszystkim na Spiżu, dalej na Orawie i w okręgu Czadeckim, jesteśmy zainteresowani niezmiernie silnie w tym, by przeżywany obecnie wstrząs międzynarodowy dał maksimum rezultatów dodatnich również i w zakresie ogólnego układu sił politycznych Europy.

Wypadki ostatnich tygodni były szczególnie jasnym i silnym podkreśleniem faktu, że w historii naszej części globu zamknięty został rozdział zapoczątkowany przez Traktat Wersalski. Nie pora jeszcze na chłodne i obiektywne dokonywanie

sądu nad całością tego okresu. Żyjemy dzisiaj w warunkach, w których historia się nie tyle pisze, ile tworzy. To co dla dzisiejszego dnia jest najważniejsze, to troska, by stan nowy, wytworzony w wyniku dokonywujących się przemian, był nie gorszy, lecz lepszy od stanu poprzedniego, by skuteczniej mógł służyć interesom zdrowego, spokojnego i nienaznaczonego piętnem tymczasowości historycznego rozwoju zarówno Polski, jak też ewentualnie i innych państw, których los może być nam nie obcy.

W numerze poprzednim postawiliśmy diagnozę, iż Europa współczesna ma przed sobą trzy możliwości, trzy kierunki rozwoju wypadków. Jeden — to hegemonia Niemiec w stosunku do całości lub przynajmniej znacznej części Europy. Drugi — to okres rewolucyjnych przewrotów, dający w konsekwencji warunki jawnej czy zamaskowanej tyranii Moskwy. Trzeci — jedynie zdrowy i pożądany — to umacnianie podstaw współdziałania i współżycia istotnie niezależnych państw, wolnych i równych narodów.

I tutaj otwiera się szeroki zakres pozytywnych celów zarysowującego się okresu pokoju, o którym trudno powiedzieć czy będzie krótszy czy dłuższy, lecz w każdym razie powinien być wyzyskiwany szczególnie intensywnie. Jeśli wojna w dzisiejszych warunkach nie miała większych celów pozytywnych, jeśli w razie jej wybuchu, byłaby wojną o charakterze niejako prewencyjnym, prowadzoną ze strachu przed jej wybuchem w gorszych i niebezpieczniejszych warunkach, nie znaczy to, by celów pozytywnych w ogóle brakowało dzisiejszej Europie. Przeciwnie, rysują się one ze szczególną wyrazistością, przy czym — rzecz dla nas nie obojętna — dotyczą w pierwszym rzędzie Polski i jej bezpośredniego sąsiedztwa.

Jeśli poruszyliśmy wyżej trzy ewentualności rozwoju stosunków europejskich, z których dwie — hegemonii niemieckiej czy anarchii komunistycznej — muszą być uważane za niebezpieczeństwo najwyższego rzędu nie tylko dla nas, lecz i dla innych czynników Europy, trzecia zaś za naturalną i zdrową, to równocześnie chcielibyśmy podkreślić z całym naciskiem, że pomyślne warunki obiektywne istnieją właśnie i szczególnie dla tej trzeciej istotnie wartościowej koncepcji.

Pesymiści i czarnowidze, rysujący przyszłość Europy w najczarniejszych kolorach, mogą na dobro rachunku swych przewidywań zapisać szereg obserwacji i zjawisk, świadczących o tym, że przyszły historyk Europy, ukończywszy w swej księdze rozdział p. t. „Likwidacja stanu wytworzonego przez Traktat Wersalski", nowemu rozdziałowi da tytuł „Walka Niemiec o hegemonię w Europie". Istotnie Niemcy w ciągu ostatnich lat osiągnęły w drodze pokojowej to, czego nie osiągnęły w latach 1914—1918 w drodze wojny: stały się największą potęgą Europy.

Szereg szczególnej wagi sukcesów, osiągniętych przez Niemcy w czasie stosunkowo krótkim, stworzył nastrój sugestywnego przeceniania zakresu dalszych niemieckich możliwości politycznych i imperialnych. Istotna ocena tych możliwości musi jednak opierać się na gruntowniejszej analizie rzeczywistości, niżeli tylko wyciąganie wniosków na przyszłość z obserwacji kierunku i tempa dotychczasowego marszu.

Najmniej trwałym elementem przy wyciąganiu wniosków są wypowiedzi chociażby nawet i najbardziej w danej chwili decydujących mężów stanu. Nie dlatego, by wypowiedzi takie miały być nieszczere, lecz dlatego, że wartość każdej formuły słownej trwa dotąd, póki trwają warunki, jakie ją podyktowały. Stąd nie będziemy zatrzymywać się nad analizą wartości formuł, w których Kanclerz Hitler mówił o przyszłych liniach politycznych Niemiec. Istotne znaczenie zdają się dla nas mieć dwa fakty:

1. W miarę realizacji sukcesów niemieckich zmienia się poważnie wzajemny stosunek elementów politycznego celu i związanego z nim równoczesnego ryzyka. Niemcy dzisiaj osiągnęły na terenie europejskim stan daleko idącego nasycenia poczuciem potęgi. Ewentualne etapy następne będą już nacechowane niewspółmiernością pomiędzy stopniem celu i ryzyka. Stąd też w interesie Niemiec powinna leżeć daleko idąca ostrożność przy wysuwaniu dalszych celów politycznych, przynajmniej na terenie Europy. W tych warunkach deklaracje o wyrzeczeniu się pretensji terytorialnych w Europie mogą mieć pewne uzasadnienie w realnie istniejących warunkach.

2. Równocześnie jednak trzeba przyjmować pod uwagę prawa natury irracjonalnej, rządzące wielkimi skupieniami sił i energii. Siła ma naturalną dążność do wyładowania. Najbardziej nawet rozsądne tezy polityczne, które nie będą uwzględniały tego naturalnego zjawiska, mogą okazać się szczególnie niebezpiecznymi fikcjami.

Z przyjęcia tego rodzaju założeń będą płynąć dość proste wnioski natury realnej. Zadaniem polityki, która chce umacniać elementy istotnej niezależności własnego kraju, musi być współdziałanie w kierunku: 1. tworzenia zdrowych i naturalnych warunków istnienia i rozwoju poszczególnych państw, 2. zwiększanie elementu ryzyka dla każdego, kto chciałby szukać ujścia dla nagromadzonej energii przez pogwałcenie naturalnych praw, swobód, czy interesów innych.

Niemcy są dzisiaj największą potęgą Europy — to prawda. Nie są jednak potęgą jedyną. Jeśli Mussolini przed kilku miesiącami użył zwrotu, że 50 milionowe Włochy mogą bez trwogi sąsiadować z 80 milionowymi Niemcami, to nie dlatego zapewne, że opierał się na takich czy innych przyrzeczeniach dzisiejszego Kanclerza Niemiec, ani też dlatego, by istotnie miał lekceważyć zagadnienie przewagi siły fizycznej Niemiec w stosunku do siły fizycznej Włoch, lecz że rozumował kategoriami szerszymi, to jest formułą ściśle włoską pokrył szerszą treść europejską, dającą się wyrazić przez stwierdzenie, że jeśli 300 milionów ludzi nie będzie chciało być w niewoli 80 milionów — to w tej niewoli nie będzie.

Spośród tych 300 milionów, stanowiących zgrubsza liczbę ludności Europy poza Niemcami i Związkiem Sowieckim, w sferze bezpośredniego i szczególnego zainteresowania Polski leży około 100 milionów, stanowiących zespół mieszkańców szeregu państw, znajdujących się w wielkim południkowym pasie pomiędzy Związkiem Sowieckim i Niemcami. Wspólność interesów większości tych państw jest wielka i niezaprzeczona. Państwa te dotychczas były i niewątpliwie będą jeszcze terenem intensywnego ścierania się szeregu wpływów zewnętrznych. Poważnym czynnikiem potęgowania trudności ich dotychczasowego współżycia i współdziałania było dawne Państwo Czechosłowackie, komplikujące również rolę i sposób działania Francji na tym terenie. Warunki przyszłości powinny tu być inne, niżeli warunki przeszłości. Rzeczą niezmiernej wagi jest zarówno wytworzenie jak wyzyskanie tych warunków, z których pierwszym i najważniejszym jest uzyskanie i umocnienie wspólnej granicy z Węgrami.

Poważnym ułatwieniem może tu być usunięcie jeszcze jednego paradoksu ostatniego okresu. Paradoks ten przejawiał się w fakcie, że od dłuższego czasu, niemal stale, Polska zmuszona była realizować wszelkie posunięcia polityczne, nawet leżące najściślej w dobrze zrozumianym interesie Francji, przy systematycznym, ostrym i zdecydowanym przeciwdziałaniu ze strony tej własnej sojuszniczki politycznej i militarnej. Za wcześnie jeszcze na wyciąganie wniosków, czy ostatnie doświadczenia wystarczą dla wykazania kierownikom polityki francuskiej całej błędności i szkodliwości tej sytuacji. Życzyć by jednak sobie należało, by i ten paradoks przestał być wreszcie codziennym chlebem naszej politycznej i historycznej rzeczywistości.

Zbigniew Domoniewski

Rola Zachodnich Demokracyj w ostatnim konflikcie

Zmiana granic Czechosłowacji! Zarówno sama treść tego faktu politycznego, jak i towarzyszące mu okoliczności międzynarodowe, musiały z natury swej i nasilenia poruszyć i zastanowić jak najszersze warstwy w każdym politycznie wyrobionym społeczeństwie. Zagadnienie czechosłowackie przyczyni się niewątpliwie do wzrostu zainteresowania polityką zagraniczną i dlatego da się porównać do wstrząsu, który uwolnił nowy zasób energii. Szczególnie można oczekiwać, iż podnosząca się fala nowych pojęć uderzy mocno w gmach tradycyjnego wyobrażenia o roli, odgrywanej w Europie przez Anglię i Francję. Można tego oczekiwać przede wszystkim w Polsce, której społeczeństwo doznało w swych nadziejach, pokładanych w wielkich demokracjach Zachodu, podwójnego rozczarowania. Otóż w tym tak ważnym punkcie oceny sytuacji międzynarodowej należy baczyć, aby nie dać się unieść łatwym sądom, wynikającym z powierzchownego tylko poznania wydarzeń.

W roli odegranej w sprawie Czechosłowacji przez Anglię i Francję kryje się niezaprzeczony moment kapitulacji przed postulatami i gotowością do wojny Hitlera. Popełnilibyśmy jednak błąd, oceniając ten fakt w jednostronnej perspektywie większej czy mniejszej niechęci Anglii i Francji do wojny w ogólności, względnie dostatecznego czy też niedostatecznego ich przygotowania do wojny z Niemcami i prawdopodobnie z Włochami. W niemal całkowitym ustąpieniu Anglii i Francji z zajętego w pierwszej fazie kryzysu stanowiska trzeba raczej widzieć *konsekwencję starcia się polityki zagranicznej sztywnej z polityką elastyczną różnorodnych możliwości.* Sztywną była polityka Hitlera, polityka nie wynikająca ze względów konjunkturalnych, tylko ze ściśle określonej doktryny, ze ściśle określonego uwartościowania wielkości politycznych. Dążenie Hitlera do zebrania możliwie wszystkich Niemców żyjących w Europie w granicach państwa niemieckiego wynika i stanowi jeden z zasadniczych elementów jego ideologii, jest dla niego celem państwowym nadrzędnym, jest racją stanu państwa narodowo - socjalistycznego. Dla tego państwa kwestia przyłączenia Sudetów i Czeskiego Lasu do Niemiec mogła i stała się też kwestią honoru, nade wszystko kwestią honoru, powagi i znaczenia wodza Niemiec — Hitlera. Toteż Chamberlain, kiedy usłyszał z ust kanclerza Rzeszy w Berchtesgaden, że Niemcy nie zawahają się wywołać z powodu Czechosłowacji wojnę światową, nie powinien był zbytnio się zdziwić. Przyłączenie Niemców czechosłowackich do Rzeszy i właśnie to przyłączenie, a nie coś innego, jako najbliższy cel niemieckiej polityki zagranicznej, było taką samą sztywną, absolutną koniecznością, jak wynik ścisłego, matematycznego rachunku. Wątpliwości mogły istnieć tylko w zagadnieniu sposobu realizacji tego celu.

Zupełnie inaczej przedstawiało się zagadnienie niemiecko - czeskie z punktu widzenia Francji, jako sojuszniczki Czechosłowacji. Ten punkt widzenia, głęboko zakorzeniony w świadomości opinii publicznej, bodaj najlepiej charakteryzują słowa jednego z deputowanych do Parlamentu francuskiego, p. Montigny, który w odczycie, wygłoszonym w krytycznym dniu 19 września, wysunął następującą tezę: każdy Francuz ma obowiązek bronić swego terytorium przed napastnikiem, lub walczyć, jak w roku 1914, gdyby chodziło o uwolnienie rodaków spod obcego jarzma. Natomiast — dowodził deputowany — „mamy obowiązek zastanowić się, zanim uznamy konieczność interwencji zbrojnej w konflikcie, w którym nasze granice są od początku respektowane. *W tej materii swobodna dyskusja jest jednym z zasadniczych przywilejów demokracji*".

W słowach tych odzwierciadla się stosunek bardzo poważnej części opinii publicznej we Francji do sojuszu w ogólności. Deputowany Montigny, mówiąc że w roku 1914 żaden Francuz nie wahał się co do konieczności walczenia z Niemcami, bynajmniej nie widzi w tym następstwa faktu, że Francja była wówczas związana sojuszem z zaatakowaną przez Niemcy Rosją. Dla czcigodnego deputowanego w y s t ą p i e n i e F r a n c j i w r o k u 1 9 1 4 n i e b y ł o n i c z y m i n n y m j a k w a l k ą o A l z a c j ę i L o t a r y n g i ę, walką — dodajmy — która nastąpiła po niesprowokowanym ataku Niemiec. W słowach p. Montigny moment spełnienia przez Francję zobowiązania sojuszniczego w stosunku do Rosji nie istniał, tak samo, jak moment spełnienia *obowiązków* sojuszniczych w stosunku do Czechosłowacji nie istniał we wczorajszym kryzysie w głębi duszy większości Francuzów. Istnieje poważny odłam francuskiej elity politycznej, traktujący wschodnich sojuszników Francji jako rodzaj kolonialnej sfery wpływów i protektoratu, sfery, którą się dysponuje w zależności od chwilowego układu stosunków międzynarodowych. W tej sferze chciano by móc dowolnie to aktywizować czynnik nacisku na Niemcy, to znów móc dokonać na tym terenie odwrotu strategicznego, ustępując Niemcom część pola. Pod tym względem zmiana na lepsze następuje we Francji bardzo powoli, stare poglądy nadal jeszcze ciążą na polityce francuskiej. Tym bardziej zaś Anglia może w pewnym momencie zajmować podobne stanowisko, powiedzmy, swobodnie dyskusyjne.

Zachodnio-europejskie demokracje miały w konflikcie czechosłowackim rozległe pole do dyskusji na temat celowości i słuszności, z ich punktu widzenia, ich ewentualnej zbrojnej interwencji. Za obroną status quo granicy Czechosłowacji z Niemcami, tym samym zaś za interwencją zbrojną, przemawiał nie jeden wzgląd obiektywny. Siedem milionów Czechów posiada niezaprzeczone prawo do niezależnego życia państwowego, tym bardziej, gdy cyfra ta powiększa się o kilka milionów Słowaków, pragnących w tej czy innej formie ustrojowej stanowić wespół z Czechami jedno państwo. Otóż dla zapewnienia tym Słowianom podstaw faktycznie niezależnego bytu państwowego należało dać im mocne granice naturalne z sześciokrotnie liczniejszym sąsiadem — Niemcami, a nadto odpowiedni zasób naturalnych dóbr gospodarczych. Tak samo nie jeden wzgląd geograficzny i historyczny przemawiał za utrzymaniem granicy czechosłowacko - niemieckiej na grzbietach Sudetów i Czeskiego Lasu, a w konsekwencji za pozostawieniem w granicach państwa słowiańskiego pary milionów Niemców, którzy po wielkiej wojnie domagali się przyłączenia do Rzeszy. Ten punkt widzenia można było nie bez podstawy uznać za prawo i w imię obrony tego prawa przeciwstawić się zbrojnie dążeniom Niemiec. Lecz z drugiej strony przyjęcie tego geograficzno - historycznego punktu widzenia nakładało na Czechosłowację od początku jej powstania kardynalny obowiązek stworzenia w pań-

stwie takiej atmosfery, w której Niemcy, nie zważając na ideał przynależności do Rzeszy, mogliby żyć w pełni względnego zadowolenia. Jednak, jak wiemy, rząd praski takiej atmosfery w państwie nie wytworzył. Okoliczność ta, stwierdzona i głęboko uzasadniona ostatnio przez lorda Runcimana, który raportował, iż z winy rządu praskiego współżycie Niemców i Czechów w ramach jednego państwa stało się niemożliwe, musiała, niewątpliwie, odegrać zasadniczą rolę w polityce gabinetu angielskiego, a niemniej i francuskiego. Z punktu widzenia polityki francuskiej sprawa ta była nie tylko natury ogólno - politycznej i moralnej, lecz również natury ściśle międzynarodowo - prawnej.

Zobowiązanie Francji niesienia pomocy zbrojnej Czechosłowacji, zawarte w pakcie francusko - czechosłowackim z roku 1925, stanowi integralną część ogólnych zobowiązań pomocy, wynikających z paragrafu 16 paktu Ligi Narodów. Francuzi, chcąc przyjść z pomocą Czechosłowacji, mogli w dzisiejszych warunkach działać nie oglądając się na Ligę Narodów, ale mogli również chcieć postawić sprawę na formalnym gruncie paktu Ligi, który przecież zawsze był uznawany przez Pragę za ideał prawa międzynarodowego. Otóż gdyby sprawę Czechosłowacji postawić na gruncie Ligi Narodów, to powstałaby odrazu kwestia, czy dyskutować ją w świetle paragrafu 16, przewidującego sankcje przeciwko napastnikowi, czy też odwołać się do paragrafu 19, mówiącego o rewizji traktatów, które z biegiem czasu okażą się nie do utrzymania oraz o badaniu sytuacyj, których dalsze utrzymanie groziłoby pokojowi. Pakt francusko - czechosłowacki, będący emanacją paktu Ligi Narodów, prowadził więc w swych międzynarodowo-prawnych konsekwencjach w chwili powstania niebezpieczeństwa wybuchu wojny zarówno do mobilizacji armii francuskiej i zapowiedzi interwencji Francji w obronie Czechosłowacji, jak i do dyskusji nad ewentualną rewizją traktatów, ustalających granice Czechosłowacji, a to celem zmiany groźnej dla pokoju sytuacji. Gdyby Francja w ogólności pragnęła wojny, gdyby co najmniej nie bała się panicznie możliwych jej następstw gospodarczych i socjalnych, to pewnie przeważyłby duch paragrafu 16 paktu Ligi. Jak długo tylko nawpół wierzono w możliwość wybuchu wojny z powodu rewindykacyj Niemców sudeckich, tak długo rząd i ogromna większość opinii publicznej francuskiej nie dopuszczali nawet myśli o naruszeniu terytorialnego status quo Czechosłowacji. Lecz gdy tylko się okazało, że wojna może wybuchnąć jutro lub pojutrze, przerzucono się odrazu na płaszczyznę paragrafu 19 paktu Ligi, gdyż Francuzom nie chciało się wojować.

Ewolucja poglądów była tu bardzo szybka. W walce pomiędzy skrupułami i rozsądkiem zwyciężył rozsądek.

Znany publicysta Wladimir d'Ormesson pisał w „Le Figaro" 16 września w dniu konferencji Hitler — Chamberlain, że „nie wchodzi tu w grę dla nikogo cofanie się lub upokorzenie. Oszczędźmy sobie tak pierwotnego słownika. Jedynym zagadnieniem jakie powstaje jest rozważenie *na serio* pewnych problemów, których nikt nie może nie zauważyć ani nie doceniać, a jeśli to jest możliwe, dać im rozwiązanie zgodne z realnościami, to znaczy z samymi warunkami życia..." Następnego dnia, kiedy wyczuto w Paryżu postawione przez Hitlera w Berchtesgaden w rozmowie z Chamberlainem żądanie rewizji granicy Czechosłowacji, d'Ormesson pisał: „któż neguje, że to nowe państwo zostało utworzone za prędko? Że było dziecińśtwem wyobrażać sobie, iż Słowianie i Germanie, którzy nie mogli ścierpieć się nawzajem już w ramach austriacko - węgierskich, będą współżyć idyllicznie w ramach czechosłowackich, tego dowodzą fakty; ale żeby trzeba było wojny powszechnej dla sprostowania tego, co musiało być *zaimprowizowane*, oto przeciwko czemu buntuje się zdrowy rozsądek".

Nie tylko jednak na prawicy rozlegały się takie głosy. Taki sztandarowy człowiek lewicy jak p. Leon Blum pisał 17 września w „Le Populaire", że „narody pokojowe nie mówią sobie, niech się dzieje co chce. I nic nie powinno im odebrać odwagi w zabezpieczaniu pokoju przez sprawiedliwość", 19 zaś września, gdy kazano Pradze akceptować rewizję granicy z Niemcami, wywodził leader socjalistów francuskich, że „zobowiązania Francji w odniesieniu do Czechosłowacji i konsekwencje, jakie mogą one mieć dla narodu francuskiego, dają nam z pewnością prawo udzielania Pradze rad". Na porządku dziennym była opinia, którą się słyszało w rozmowach z ludźmi nawet stojącymi zdala od polityki, że jeśli powstała niezgłębiona nienawiść między Niemcami i Czechami, to robiąc po ewentualnej wygranej wojnie pokój sprawiedliwy, należałoby przyłączyć dzisiejszych Niemców czechosłowackich do Niemiec, a w takim razie poco w ogóle wojować?

To jeden zakres przyczyn psychologicznych, politycznych i prawnych, dla których polityka francuska, a z nią i angielska w kryzysie czechosłowackim musiała być w przeciwieństwie do sztywnej polityki Hitlera niezmiernie elastyczna. Drugi zakres przyczyn tej elastyczności wypełniają zagadnienia gospodarczo - polityczne i strategiczne.

Każda dyskusja nad zagadnieniem pokoju i wojny musi wyjść z dyskusji nad wzajemnym stosunkiem sił. Nie brakło w gorących dniach kryzysu we Francji i w Anglii głosów opinii, wołających, że po usadowieniu się Niemiec na wewnętrznych zboczach Sudetów i Czeskiego Lasu i po usunięciu przeszkody, jaką stanowi Czechosłowacja dla ekspansji gospodarczej Niemiec do basenu Dunaju, już będzie za późno myśleć o wojnie z Niemcami i trzeba będzie w takich warunkach w przyszłości przyjmować biernie wszystkie możliwe ich żądania. Anglia i Francja — mówiono — wystartowały późno do wywołanego przez Niemcy wyścigu zbrojeń, lecz istniała nadzieja, że rozporządzając bez porównania bogatszymi niż Niemcy środkami gospodarczymi, prędzej czy później dogonią ich i przegonią. Brytyjski minister marynarki oświadczył nawet kiedyś w Izbie Gmin, że po ukończeniu zbrojeń brytyjskich wojna stanie się niemożliwa, gdyż nikt nie ośmieli się narazić na reakcję Wielkiej Brytanii przeciwko napastnikowi. Lecz po opanowaniu przez Niemcy naddunajskiego obszaru gospodarczego, do czego rozbicie Czechosłowacji otworzyłoby im drogę, obecna dysproporcja potencjału gospodarczego Anglii i Francji oraz Niemiec już nie będzie istniała — powiadali pesymiści. Niemcy w takich warunkach, w roku 1942, kiedy zostaną wreszcie ukończone wielkie zbrojenia angielskie i francuskie, mogą okazać się silniejsze od obu tych państw razem i oparte o Włochy dyktować im nowy porządek w świecie. Istotnie, jak słychać, ten punkt widzenia odgrywał niemałą rolę w decydujących obradach gabinetów francuskiego i angielskiego w krytycznych dniach 16—19 września. Musiał jednak ustąpić miejsca innym argumentom, wśród których znajdował się pewnie i odmienny sposób patrzenia na zagadnienie ekspansji niemieckiej do basenu naddunajskiego.

Gospodarcze opanowanie tego obszaru nie jest dla Niemiec prostą sprawą i w dodatku wiadomo, że Anglia poważnie zastanawia się nad użyciem swych rozległych możliwości gospodarczych celem zahamowania ekspansji niemieckiej, jeśli stanie się ona niebezpieczna dla równowagi europejskiej. Można więc wysunąć tezę, że bojąc się gospodarczo - politycznych następstw osłabienia Czechosłowacji, nie potrzeba koniecznie bić się z Niemcami, tylko należy rozpocząć z nimi walkę na gospodarczym terenie Dunaju. Poza tym można walczyć z Niemcami w tym obszarze politycznie i nie dopuścić, żeby stał się on terenem preponderancji wpływów niemieckich. Trudno uwierzyć, aby państwa naddunajskie, Jugosławia, Rumunia, Węgry i Bułgaria i szczególnie nowa Czechosłowacja, poddały się dobrowolnie gospodarczym i politycznym wpływom Niemiec i stały się narzędziem w ich ręku. Naodwrót można się spodziewać, że w obecnej sytuacji państwa naddunajskie będą się raczej coraz to więcej zbliżać do mocarstw zachodnich, jeśli od nich otrzymają realne i zdecydowane podtrzymanie. Zagadnienie sprowadza się więc do kwestii przeniesienia walki z terenu usiłowań zachowania integralności Czechosłowacji, jak to było wczoraj, na teren politycznej i gospodarczej walki z Niemcami w basenie Dunaju. Czyli, że znów — dla gabinetów Anglii i Francji powód do zajęcia w kryzysie czechosłowackim stanowiska elastycznego.

Za zajęciem takiego stanowiska przemawiały również względy natury strategicz-

nej. Pod względem strategicznym dużo zmieniło się od dnia, w którym w roku 1925 Francja podpisała z Czechosłowacją pakt wzajemnej pomocy. Rozwój armii niemieckiej prowadzony na największą skalę i podpisanie przez Francję paktu wzajemnej pomocy z Rosją zepchnęły Czechosłowację z bezpośredniej do pośredniej roli w systemie bezpieczeństwa Francji. Już nie tyle chodziło Francji o samą armię czechosłowacką, ile o znaczenie Czechosłowacji jako pomostu, po którym mogłaby dostać się na granice Niemiec armia sowiecka. W roku 1936 Czechosłowacja była jeszcze pomostem idealnym, lecz już jesienią tego roku, z chwilą upadku w Rumunii ministra Titulescu i zwrotu w polityce zagranicznej tego państwa, połączenie Czechosłowacji z Sowietami stanęło pod znakiem zapytania. W rok potem zaszły fakty dla francusko - czechosłowacko - sowieckiego systemu wzajemnej pomocy jeszcze bardziej niweczące: przejawy daleko idącego zachwiania wewnętrznej politycznej spójności panującego w Rosji reżimu, co znów stawiało pod znakiem zapytania wartość militarną Rosji jako sojusznika. Rok 1938 przyniósł najgłębszy cios w ten system francuskiego bezpieczeństwa: Anschluss. Czechosłowacja została przez Niemcy otoczona, w dodatku, zajmując Austrię, Niemcy podeszły do Czechosłowacji od strony, gdzie warunki geostrategiczne są dla Czechosłowacji najniekorzystniejsze, oraz uzyskały bezpośredni, terytorialny kontakt z Węgrami. Gdy w dodatku trzy i pół miliona Niemców, a więc ludności, zamieszkującej w 70% większości pasy ufortyfikowane czeskiego pogranicza, zaczęło się buntować przeciwko władzy centralnej, wartość Czechosłowacji jako sojusznika i strategicznego pomostu do Rosji musiała ukazać się w oczach francuskiego sztabu generalnego w innym świetle niż kilkanaście lat temu przy podpisywaniu francusko-czechosłowackiego paktu wzajemnej pomocy. Nie pozostało to oczywiście bez daleko idących konsekwencji w nastawieniu czynników ściśle politycznych.

Powodów, dla których polityka francusko - angielska musiała być w kryzysie czechosłowackim w przeciwieństwie do sztywnej polityki Hitlera niezmiernie elastyczna, można by wyliczyć jeszcze wiele więcej. Nie o to jednak nam tu chodzi. Wystarcza to, cośmy przytoczyli, co jest przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie i w środowiskach politycznych Anglii i Francji, aby uświadomić sobie głębsze powody niemal kapitulacyjnych ustępstw mocarstw zachodnich. Kryzys czechosłowacki rozwinął się zgodnie z prostym prawem fizyki, mówiącym, że przy zetknięciu się ciała twardego z miękim twarde uczyni wyłom w miękim. Twarda i nieustępliwa, doktrynalna polityka Hitlera uderzyła w mięki amalgamat *względności* rozmaitych interesów i punktów widzenia ministrów francuskich i angielskich i nic też dziwnego, że uczyniła wyłom w zajętym przez nich początkowo stanowisku. Oczywiście, nie zmienia to faktu, że w dniu, kiedy Anglia i Francja dojdą do sztywnego, doktrynalnego wniosku w zakresie swych interesów międzynarodowych, wówczas starcie z polityką Hitlera w ich polityce wyłomu nie uczyni; nie musimy być świadkami nowej ustępliwości ostatecznej, która *wówczas* byłaby istotnie pełną kapitulacją. Dziś skapitulowała w gruncie rzeczy tylko Praga, która ustąpiła w kwestii bezwzględnie zasadniczej.

Zagadnienie roli Anglii i Francji w kryzysie czechosłowackim ma jeszcze inną stronę, sprawom polskim najbliższą. Gdy mocarstwa te postanowiły nie wojować z Niemcami z racji Czechosłowacji, wychodząc z dającego się szeroko uzasadnić założenia, że potrzeby życia nakazują rewizję traktatów międzynarodowych dotyczących tego państwa, a więc stając na gruncie wielkiej reformy stosunków w Europie Środkowej, Anglia i Francja powinny były zainicjować dyskusję nad rozwiązaniem *całości* nie wytrzymującej próby życia sytuacji państwa czechosłowackiego. Jakaż w tym kryła się sposobność przeciwstawienia agresywnej, wyłącznie niemieckiej polityce Hitlera pokojowej polityki w wielkim *europejskim* stylu, polityki godnej dwu najbardziej przodujących narodów Europy, prawdziwej polityki ideałów prawa i sprawiedliwości! Na to jednak Anglia i Francja nie potrafiły się zdobyć. Dopiero wystąpienie Mussoliniego zamieniło ciasne zagadnienie czechosłowacko - niemieckie w wielki problem dyskusji nad rekonstrukcją Czechosłowacji w imię sprawiedliwości i dobra wszystkich jej narodowości. Lecz nawet wystąpienie Mussoliniego nie uświadomiło Anglii i Francji o roli, jaką one — wielkie demokracje, filary cywilizacji europejskiej — powinny były odegrać z chwilą, kiedy sprawa Czechosłowacji zeszła na grunt rewizjonizmu. Bezkrytycznie zapatrzone w Czechosłowację jakby w fortecę, w której każda narożna baszta jest dla nich cenna, *Francja i Anglia nie tworzyły, nie budowały nowych rozwiązań, tylko z zaciśniętymi zębami ustępowały temu, komu nie chciały czy nie mogły się przeciwstawić*, — zrazu Hitlerowi, potem Polsce, ustępowały krok za krokiem, mając cały wysiłek skupiony na tym, by oddać najmniej. W tym kompleksie istotnej kapitulacji przed siłą i racją, w tym kompleksie polityki zupełnie nietwórczej, Francja nie tylko zapomniała o interesach swej sojuszniczki Polski, lecz nawet nie zrozumiała swych własnych interesów w zakresie spraw, dotyczących nowej Czechosłowacji.

W tym niezwykłym zaślepieniu ujawn'ı się najgłębsze podłoże całego kryzysu. Oto dwóch mężów stanu na miarę największą— Hitler i Mussolini — spotkało się z ludźmi, którzy okazali, że budować nie potrafią. Naprzeciw mężów, którzy co pół roku otwierają nowy rozdział historii, stanęli ludzie, którzy zaledwie potrafili wpłynąć na ustalenie szczegółów przedstawionych im gotowych rozwiązań.

Melchior Wańkowicz

Owe dwa dni...

Fatalny był dzień — ów piątek. Od rana gruchnęło o uchwale „grubej czwórki". Ochłap urągliwej nadziei — dogadajcie się w ciągu trzech miesięcy — przyprawiał ludzi o wściekłość.

Kiedy koniowi coś dolega, kiedy go operują, kiedy go boli — stara się jeść siano. Zabieg psychiczny. Z człowiekiem tak samo. Kiedy zlegnie ciężki znak zapytania — musi robić cokolwiek.

Więc w ten piątek pojechałem na wzlot balonu stratosferycznego. Nie jako żaden sprawozdawca i na własne ryzyko. Poprostu: żuć tę psychiczną wiązkę siana, patrzeć na coś co się robi.

O dwunastej w nocy w Krakowie dowiedziałem się przez telefon z dworca, że startu nie będzie. I że... wyleciał do Pragi lotnik z czemś, co wygląda na ultimatum.

Zdążyłem zabrać rzeczy i wyskoczyć z ruszającego już pociągu. Za pięć godzin pociąg do Cieszyna. Za osiem godzin będę między swemi ludźmi, między których nadziejami i uniesieniami obracałem się przed tygodniem.

Na ławie klasy trzeciej — żołnierze, podoficerowie, podchorążacy. Trudno się wyznać w przydziałach, bo odznaki pułków sprute, odznaki rodzajów broni sprute. Maski gazowe, pełny ekwipunek. Wracają z różnych wyjazdów służbowych. Są jak pojedyncze owady, sunące ścieżynami w kierunku szumiącej termitiery.

Ta termitiera — to odległy o jakich dziesięć kilometrów od Cieszyna — Skoczów.

Cieszyn, hotel „Pod Brunatnym Jele-

niem", lożujący dziennikarzy, rynek jego, jego ulice — sprawia wrażenie larwy, porażonej w ośrodkach nerwowych żądłem osy. Ci ludzie dziesięć dni byli w stanie wrzenia, nocami leżeli nad Olzą, patrząc na błądzące światła czeskich reflektorów, nasłuchując detonacyj. Jedni organizowali wyprawy z bronią w ręku na tamtą stronę, inni na gwałt preparowali wiadomości, których było brak, wysyłali je w ciągłej wierze, że oto pójdą fakty, które wyprzedzą nadawane na kredyt wiadomości, że rzeczywistość, prężna i szybka, poderwie się z niewiadomego łoża i wyprzedzi nieporadne marzenia.

Depesza Monachijska — to było to paraliżujące żądło osy.

Idę okólną drogą, pokrętnemi uliczkami, żydowską dzielnicą w dół ku Olzie. Wiem, że po obu jej brzegach stoją gniazda karabinów maszynowych. Ale wojsko, które wykwita od czasu do czasu oczom cywilów w barwnych defiladach, nie lubi w swych pracach światła. Rzekłbyś — nic się nie zmieniło po obu stronach rzeki. Nad mostem stoją grupki ludzi. Most milczący i pusty aż biały, wyciąga się przez Olzę. Po tamtej ulicy drugiego odciętego świata, snują się zrzadka ludzie. Zapewne patrzą takiemi samemi pustemi oczami na nasz brzeg. Bo dziś już nie wiadomo nic.

Zachodzę do owocarni. W martwym świecie stoi taka sucha oschła białość, że odczuwam wprost fizyczną potrzebę odświeżenia się.

W owocarni siedzi stary żyd w czarnym tużurku przypominającym chałat, czy też chałacie skrojonym na surdut. Ma bródkę w szpic, czarny pilśniowy kapelusz. Przysiadł za kontuarem i wyjada pudełko sardynek, które mu podano.

Mówi, że ma 73 lata. Że podróżował po wielu krajach Europy jako zegarmistrz.

— To jak ja byłem we Francji — podnosi na mnie czarne palące oczy — to mnie mówili „sale Polonais". A jak przyszedłem do Niemiec, to wołali za mną „polnische schwein". A przy wojsku austryjackim, to feldfebel kroat wymyślał mi od Polaków. Wszędzie, wszędzie na świecie człowiek był jak garbaty. Nu, a jak ja wrócił tu...

W pudełeczku już nie ma sardynek. Należy teraz przechylić je ostrożnie; w rogu wówczas zbiera się oliwa, która jest bardzo smaczna.

— Jak ja był niedawno na czeskiej stronie i szedłem z bóżnicy, to Czesi nas nie zaczepiali; ale kiedy przechodziliśmy koło polskiej szkoły, to nas chłopaki obrzuciły wyzwiskami. Ja poszedłem do nauczyciela i mówiłem, że to postawię w gazety.

Nie ma teraz nic już do jedzenia. Splata ręce na kolanach i chuda jego sylweta otrzymuje nieznaczny rytmiczny ruch. Ruch jest nieznaczny, miarkowany tysiącletnią dyscypliną przebywania wśród gojów, którzy wyśmiewają wschodnią ekspresyjność. Ale się wyczuwa, jakie ognie wewnętrzne powodują ten nieuchwytny wahadłowy ruch.

— 99% ludzi zwarjowało. Jeden drugiego chce zabić. Jeden drugiego wygania. Czy to komu potrzebne do pracy? Czy to komu potrzebne do szczęścia?

Kiedy wychodzę ze sklepiku, natykam się na zielonego żołnierza o twardej chłopskiej twarzy, który podąża w górę objuczony sprzętem bojowym. Dąży gdzieś z jakiejś placówki nadrzecznej. Po uliczkach dzielnicy żydowskiej widnieją czeluście sklepików. Może i w nich siedzą ludzie o wązkich arystokratycznych rękach o pergaminowych twarzach i żarzą w sobie. Te sklepiki wydały mi się równie maskowanym łańcuchem pozycyj.

Kiedy wracam na rynek, w hotelu uderza mnie wieść: Granica 1919 roku!

Już od dołu z nad Olzy idzie gromada batiarów. Ci zawsze znajdą się w kropce. Lud, który w pięć minut po każdem zdarzeniu, już ma gotowe latarnie. Niosą w triumfie wielkim wyrwany z ziemi polski słup graniczny. I jacy dowcipni. Niosą do Muzeum! Napływają coraz nowe słupy. Ludzie drą z nich scyzorykami drzazgi na pamiątkę.

Granica 1919 roku! Tam, gdzie w 963 r. była kasztelania Chrobrego, tam gdzie w 1848 r. Paweł Stalmach wzywał do akcji zbrojnej i zatknięcia polskich sztandarów, tam gdzie spis austryjacki jeszcze w 1900 roku konstatował 81 proc. Polaków, gdzie w 1914 r. legiony Piłsudskiego doznały tyle serca ile w żadnej innej dzielnicy, gdzie w 30 października 1918 r. Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego proklamowała suwerenność Rzeczypospolitej.

...Gdzie 23 stycznia 1919 r. wdarli się Czesi.

W dniu 30 kwietnia 1919 r. Piłsudski powiedział do delegacji tej ziemi: Czekajcie i wytrwajcie. My się was nigdy nie wyrzekniemy".

Rynek szaleje. W hotelu radca Bodeński naprędce sprasza prasę na skromny obiad. Obiad się połyka na prędce. Teraz czas na triumfowanie armji. Kampanja zaś prasy dopiero się rozpoczyna. Ona wyruszy w pole.

W polskim Cieszynie poczynają dzwonić dzwony. Po chwili z czeskiej strony wiatr nam przynosi słaby dźwięk. Ta ziemia, jeszcze pod Czechem, oddzwania!

Biorę auto i jadę do Skoczowa. Pokłonić się najlepszemu dyplomacie, jakim jest bagnet. Jestem w salonce gen. Bortnowskiego, kiedy przyjeżdża czeski generał Hrabczyk. Peron pusty, salonka samotna. Ani dziennikarzy, ani publiczności, ani kompanji honorowej. Taki być musiał nastrój w ów jesienny dzień w lasku, przez który ku salonce Focha szli parlamentarjusze niemieccy. W takie dni, w ich ciszy, lepiej niźli w czasie bankietów słychać w głębokości dziejów, w ich kośćcu — cichy trzask. Jakiś zrost pęka niepowrotnie.

W kwaterze czekam na przepustkę. Mój pokój przedzielają od następnego oszklone drzwi. Za temi oszklonemi drzwiami, za wązkim stołem zarzuconym mapami siedzi pięciu oficerów z pułkownikiem pośrodku. Siedzą wszyscy po jednej stronie stołu, twarzami do mnie. Swoiste Cenacolo. Ruchy nad mapami są wolne, obrzędowe i niemylne. Jutro spotężnieją w 25,000 razy większej skali. Czytałem o przyrządzie, który pozwala w Ameryce podpisywać naraz i jednem pociągnięciem pióra szereg rozłożonych banknotów. To tu mam przed sobą taki przyrząd: jutro w każde miejsce, które znaczy niedostrzegalne pociągnięcie ręki, podąży oddział.

Wychodzę z przepustką na Skoczów. Miłe miasteczko z fontanną w starym rynku, ciche okrągły rok, na które trudno patrzeć inaczej, niźli oczami Morcinka. Teraz jest noc, widzę Skoczów niby w akcie drugim jakiegoś widowiska. Uprzątnięto dekoracje zielonych dokolnych wzgórz. Wypełniono tłumem cichy rynek. We wszystkich oknach kamienic stoją rzędami palące się świeczki. Miła archaiczna dekoracja, którą w Warszawie ongiś święciliśmy zwycięztwa Kościuszki.

Knajpy pełne. Klęska padła na knajpiarzy całego Śląska Cieszyńskiego. Przez trzy następne dni nic nie można było otrzymać. Człowiek błądził po gospodach „Pod Jeleniem", „Pod Wołem", „Pad Łabędziem", pod „Krzywym psem" i rad był, kiedy wreszcie dostał gdzie kiełbasy z musztardą, i bez kartofli broń Boże.

Za to, poczciwa, nie zawodzi borowiczka, wódka ślązka. Sierżant , który idzie ze mną, żali się, że nie sposób wysyłać żołnierzy z meldunkiem. Zastępują im drogę tłumy. Jedna gaździna, świecąc białą koronką, jakie tu gładko noszą pod czepkiem, wyciąga oną właśnie borowiczkę, inna na żywotku (gorseciki ślązkie, bardzo wcięte) piastuje kiełbasę jak polano — i przepijaj tu z niemi!...

W knajpie piją i Niemcy. Rodzinnie. Do ostatniego rocznego dziecka. „Sie muss doch gewissen. Sieg!" Przez pijącą knajpę przechodzi ksiądz w berecie. Kościoły wszędzie pełne. W tę noc łączą się modły i pijaństwo. Dusze ludzkie pragną wyjść po za siebie, skąpać się w dziejowej chwili na wszelkie sposoby, chłonąć ją głodnemi oczami.

Ostatnią borowiczką dobija mnie „Roztomiły Gustlicek"—Morcinek. Odwiózł do Górek Zofję Kossak (tam to go przed laty poznałem) i wrócił świętować wielki dzień w miasteczku, o którego różnych fazach dziejowych już tyle pisał.

Kiedy wychodzimy — już prace milczącej piątki za wązkim stołem poczynają działać. Czarnymi ulicami Skoczowa suną sylwety kaemów. Czasem rzuci błysk świeczka z parterowego okna i widać, że na karabinach tkwią kwiaty. Tłum z obu stron stoi sparty i gęsty. Siadam w autobus, idący do Cieszyna. I tak jedziemy w tunelu ludzkim, spartym wzdłuż drogi, z którego lecą kwiaty. Przed nami i za nami ciągnie wojsko. Jest ciemno. Nie

ma świeczek. Ale w ciemni przydrożnej czuć chłonące oczy tłumu.

W obozie w Hermanicach, w obozie dla uchodźców z za Olzy, który przykląsł u stóp zielonych wzgórz — w obliczu Czantorji — wielki dzień. Byłem u nich tydzień temu, kiedy sparli się przed komendą w tłum, krzycząc „dajcie nam broń". Wówczas ich było dwustu, obecnie już ich jest czterystu. Trudno już było żyć w takiem napięciu. Aż dziś o drugiej dowiedzieli się: „Granica 1919 r.!" Aż teraz, wieczorem dowiedzieli się: „Wkroczycie pierwsi!"

Wkroczą, niosąc broń.

Wybuch radości trwa dobry kwadrans. Kiedy wreszcie morze uścisnień i okrzyków cichnie, wydobywa się z niego nabrzmiały szczęściem głos:

— A kto nie przerabiał chwytów, gwerem, będzie całą noc ćwiczył kijem od szczotki.

Potem zasiedli przy ognisku, do ostatniej gawędy obozowej. Ale cóż to za gawęda! Na każde słowo o Rydzu, o Polsce, o wielkich cieniach tego, którego nie ma, krzyk ogromny bucha, jakbyś żgnął nową kłodą w to tu ognisko. Ogień idzie w górę, w czarne niebo, krzyk idzie wielki ku grzbietom Czarntorji, dusze ludzkie biją w górę niewiada gdzie i ku jakiemu kresowi.

Wieczorem w sali hotelu „Pod Jeleniem" zasiedli oficerowie miejscowego pułku piechoty. Te polowe stroje, chrzęst rzemieni, rewolwery przy pasach, dają posiłkowi koleżeńskiemu charakter surowy. Dowódca wstaje i zamiast oracyj, przypomina, żeby jutro byli wylakierowani, wypucowani na ostatni guzik, a teraz szli spać. Opóźnia sprawę jedyny cywil, obecny na sali. Niech mu darują. Kamień i ten by wtedy mówił.

A rano raniutko przez most zakazany, przez most drutowany, przez most minowany — idę już na tamtą stronę, korzystając z przepustki. A na tamtej stronie w uśmiechach, w podrygansach, robi mi honory domu ktoś w pięknym zielonym mundurze z trzema gwiazdkami na kołnierzu. Ktoś ma w oczach niebo życzliwości. Myślę, że to polski „finans". Nie znam się na ich mundurach. Potem mi powiedzieli, że to „finans" czeski.

Cieszyn się szykuje. Już wszystkie ulice powiewają polskiemi flagami. Zrozumiałem, skąd się wzięła, skoro zobaczyłem na bocznej uliczce taką operację. Z poddasza ktoś wysuwał chorągiew biało czerwoną i skręcał i rozkręcał ją na kiju. Za każdem większem rozkręceniem wysuwał się wszyty u nasady dwu kolorów między nimi niebieski trójkąt. Taka jest bowiem flaga czeska. Domownik wysłany na dół, dla obserwowania operacji, w pewnej chwili krzyknął:

— Schon gut. Die Schwimmhosen sind weg! (Już dobrze, już nie widać majteczek kąpielowych).

Na murach strzępy czeskich plakatów. Jeden przypomina, że obywatele organizacyj społecznych nie mają prawa pojawiać się w mundurach. Inny głosi: „Kiedy nadejdzie chwila, wszyscy będziemy żołnierzami!". Wojownicze słowa powiewają strzępami porwanego papieru.

Przed ratuszem policja polska. Ci weszli przed wojskiem i wyprowadzają z honorami dotychczasowego burmistrza, renegata Kożdonia. Chcę go sfotografować i gdy się wywija mówię całkiem niegrzecznie: „Proszę stać!". Renegat staje i oto zdejmuje jego podobiznę. Ciekawym za czym to się tak ujmował Cat-Mackiewicz. Biała plama utrąciła jego wywód. Że wojewoda Grażyński nie przyjął chleba, najszczytniejszego symbolu, z Kożdoniowych rąk?

Kiedy wracam na polską stronę, już u wylotu mostu, którym ma wkraczać wojsko, wciągają transparent: „Witajcie! Od dziś wiecznie razem".

Na moście tłum z dwu stron. Na lewo budka nowiutka urzędu celnego czeskiego, wystawiona i wymalowana świeżutko przed kilku dniami dla demonstracji. Teraz zabiegliwa jakaś paniusia ogląda ją i wypytuje do kogo by się należało zwrócić, chciała by bowiem ją zakupić na kiosk. Teraz na budce ulokowali się dziennikarze. Za budką zieje oszalowaniem z desek kawiarnia, w której podejrzewano karabiny czeskie, wysadzona przez powstańców ręcznymi granatami. Przed budką leżą jeszcze krzyżaki z namotanym drutem kolczastym. Kiedy Czechom przed nosem śmigały uciekające jure caduce z Czech polskie i hitlerowskie automobile mimo pokrzykiwań, nawoływań, zatrzymywań (— dziwnie wojuje ta demokracja!) — zdecydowali się na musztardę po obiedzie — grodzić most tym drutem.

Przechodzę jeszcze na tamtą stronę, by znaleźć Morcinka. Od rana chodzi na czeską stronę, gdy ja na polską i odwrotnie. Znajomi sygnalizują, że się wzajemnie szukamy; teraz mówi mi to jego siostra. Kiedy wtem przypada do niej jakaś zażywna paniusia i mocno ściska za rękę. Panna Morcinkówna cofa się przed tym atakiem:

— Żeby ten Heczko nie umarł... prosi paniusia w podnieceniu wielkiem. Heczko jest bohaterem ostatniej powieści Morcinka drukowanej w „Polsce Zachodniej".

Wejście wojsk mogło rozczarować tych, którzy oczekiwali parady. Żadnych orkiestr, żadnej defilady. Najprzód, kiedy przeszły czujki i patrole, puszczono długie szeregi obrony narodowej. Wszystko to miejscowe chłopaki, więc co raz to z tłumu padało:

— Stasiek, trzymaj się!...

— Józiek, broda do góry!...

A oni szli, świecąc pucołowatemi gębami z pod okapów bojowych hełmów, obejmując łapskami naręcze astrów. Co raz to któryś dowódca krzyczał: „Baczność, na prawo patrz!...", chłopy się prężyły, wybijając takt i wraz gasił te zapędy machnięciem dłoni generał Bortnowski, stojący na moście w grupie oficerów.

Z żalem wyrzekła się ludność defilady, aż zrozumiała wreszcie, że jest świadkiem operacji wojennej, że po schronach betonowych, po gniazdach karabinów maszynowych siedzą czescy żołnierze, że radio czeskie rozgłasza, jakoby Sowiety zażądały ultymatywnie wycofania się z Zaolzia.

Ludzie podnosili głowy w górę. Na tle nieba rysowała się sucha twarz stojącego na aucie gen. Bortnowskiego. Tłum spoważniał w wiwatowaniu.

Za to wieczorem... Wieczorem Czeski Cieszyn tak świętował, jak w dniu wczorajszym Skoczów. Byłem na sali w „Polonii", kiedy zawieszano portrety Marszałka Piłsudskiego, Prezydenta Mościckiego i marsz. Śmigłego Rydza. Kiedy obóz w Hermanicach śpiewa państwowy hymn, albo sala w „Polonii" zawiesza przepisane portrety, wówczas jaśnieją całym blaskiem przyprószone uzusem codziennym symbole.

Wieczorem wyszedłem na Cieszyn ze znajomym przemysłowcem Niemcem.

Po ulicy ciągnęła banda wyrostków z ogromną drabiną. Przystawiwszy drabinę na rogu ulicy, wspiął się jeden z nich na wysokość piętra i zręcznym ruchem obcęgów począł zrywać gwoździe, przybijające blachę do muru. Z wielkim hukiem poleciała wielka kwadratowa blacha nam pod nogi. Przeczytałem napis.

— *Getove ulice* — ulica Goethego.

Spojrzałem na mego towarzysza. Odwrócił głowę. Tłum manifestował. W knajpach lała się borowiczka, wypijano do dna ostatnie zapasy Pilznera. Słowa polskie, niemieckie, czeskie, morawskie, słowa pół słowiańskie i ćwierć niemieckie i trzy ćwierci czeskie, neologizmy o zasięgu kilkudziesięciu kilometrów, słowa — szyldy, słowa — trafarety umowne, nakipiałe, należałe, nabutwiałe przez wieki w bramie ślązko morawskiej.

Pod Jabłonkowem, pod Trzyńcem, pod Karwiną, w runi zielonej rosną i pełnią się słowa pięknej polszczyzny.

W dniu tym przez most na Olzie wszedł wiatr od Polski.

Obejmujący w jej imieniu kraj wojewoda nie przyjął kluczów od miaszańca Kożdonia. Powiedział natomiast, że uznaje każdą narodowość.

Dlatego smutno mi, że w pyle ulicy leży tablica Goethego i nie żal Kożdonia, jeśli udławi się chlebem, którym miał bezczelność nas witać.

RUCH NATURALNY LUDNOŚCI W POLSCE

Wiktor Ormicki

Zagadnienia polityki populacyjnej

Trud związany z diagnostyką demograficzną byłby zmarnowanym i bezużytecznym wysiłkiem, gdyby jedynym efektem pracy miało być tylko zaspokojenie ciekawości. Sens badań diagnostycznych — poza ich znaczeniem ściśle naukowym — polega bowiem zawsze na otwieraniu perspektyw i możliwości terapeutycznych, które — gdy idzie o zagadnienie ludnościowe — leżą w płaszczyźnie polityki populacyjnej.

Demografia daje przekrój statyczno-strukturalny dzisiejszego lub wczorajszego stanu ludności, analizuje i rozświetla zjawiska i procesy, niektóre może nawet przewidzieć i z pewnym prawdopodobieństwem zapowiedzieć. Na tym jednak kończy się jej rola. Kierowanie zjawiskami i procesami ludnościowymi, wpływanie na nie celem nadania im pożądanego kierunku rozwojowego jest atrybutem i istotą polityki demograficznej.

Aczkolwiek zatem i demografia i polityka ludnościowa dotyczą tego samego przedmiotu, nie są tym samym. *Polityka populacyjna* daje wyraz określonemu światopoglądowi, jako działanie praktyczne, zmierzające do urzeczywistnienia konkretnego celu; ma zatem charakter subiektywny. Można ją pochwalać, tolerować lub zwalczać, można w nią wierzyć lub nie, w każdym zaś razie można i wolno odnosić się do niej emocjonalnie. Demografia, jak każda nauka, wyłącza tego rodzaju stosunek, ponieważ celem jej jest wyłącznie i tylko poznanie, bez względu na to, czy wyniki badań odpowiadają osobistym poglądom lub życzeniom autora. Rezultaty analizy demograficznej musi się przyjąć do wiadomości, co najwyżej można je uznać, lub musi się je obalić. Obowiązuje więc obiektywizm a zachodzi stosunek racjonalny. Prawda, że znaczenie faktów można rozmaicie oceniać. Nie trzeba jednak zapominać, że ich utylitarna ocena leży już w kompetencji polityki populacyjnej. Wyraźny podział rzeczowy, zachodzący pomiędzy demografią i polityką ludnościową, nie przeszkadza jednak istnieniu bardzo ścisłego związku między obu dyscyplinami, który i działalności polityczno-ludnościowej i demografii jako nauce przynosi wiele obustronnych korzyści, o ile obie strony ściśle przestrzegają swych uprawnień i nie wykraczają poza nie. Nauka dostarcza wiedzy obiektywnych faktów i materiału poznawczego, polityka populacyjna natomiast — bodźców badawczych, pozwalających na aktualizację poczynań naukowych.

Sprawa byłaby zatem zupełnie jasna, gdyby nie rozbieżność poglądów na istotę polityki populacyjnej! Albowiem ani w praktyce, ani w teorii nie uzgodniono opinii o celach, zadaniach i zakresie polityki ludnościowej. Zasadnicze nieporozumienie wyrasta na tle różnic w traktowaniu problemu ilości i jakości materiału ludzkiego pod względem rzeczowym, metodycznym i realizacji politycznej.

Politykę jakościową prowadzą np. państwa skandynawskie (Szwecja, Norwegia, Finlandia), które — kładąc nacisk na eugenikę, wychowanie fizyczne, opiekę społeczną, oraz zespół zadań kulturalno-oświatowych, idą po linii propagowania małych rodzin, podobnie jak Wielka Brytania. Przychodzi im to tym łatwiej, że znajdują się w pomyślnej sytuacji gospodarczej, co sprzyja jakościowej poprawie materiału ludzkiego.

Polityka ilościowa Francji, Belgii i Włoch polega na propagowaniu rodności przez zastosowanie szeroko rozwiniętych systemów subwencjonowania przez państwo liczniejszych rodzin.

Oba wymienione kierunki polityki ludnościowej charakteryzuje działanie niedostatecznie w ramach *istniejącego* ustroju gospodarczego skutecznymi środkami i metodami *polityki społecznej* (socjalnej).

Niewłaściwość stosowania polityki społecznej dla głębiej pojmowanych celów ludnościowych wypływa z jej istoty o tyle, że akceptuje ona w zasadzie istniejącą strukturę gospodarczą, godzi się z nią i ogranicza się do usuwania względnie stępiania jej przejawów antyludnościowych. Tymczasem możliwość paraliżowania następstw wadliwej struktury gospodarczej w drodze zarządzeń czy to ustawodawczych, czy też administracyjnych o charakterze socjalnym, jest nad wyraz nikła, gdy idzie o politykę ilościową; nieco tylko szersza przy polityce jakościowej. Z tych względów próby kompromisowego wyjścia, polegające na dążeniu do realizacji zamierzeń ludnościowych przy równoczesnym salwowaniu istniejącego ustroju gospodarczego w drodze rozszerzania ustawodawstwa socjalnego nie zdają się rokować pożądanych wyników.

Osiąganie pozytywnych rezultatów demograficznych utrudniają w dzisiejszych warunkach głównie dwa momenty:

1) *zasadnicza rozbieżność interesów jednostki* (względnie rodziny) *i państwa*, polegająca na zainteresowaniu państwa w posiadaniu i przyroście możliwie dużej liczby zdrowych i światłych obywateli, gdy aspiracje rodziców idą raczej w kierunku zapewnienia potomstwu staranniejszego wychowania, lepszych warunków materialnych i możliwości awansu społecznego [1]).

2) *niedostateczna koordynacja działalności poszczególnych resortów w państwie*, wyrażająca się inicjowaniem i realizowaniem resortowo aktualnych zamierzeń gospodarczych, nie przemyślanych jednakże z punktu widzenia ludnościowego i nie uwzględniających ewentualnych, niejednokrotnie bardzo groźnych następstw demograficznych, które aczkolwiek nie zamierzone, stają się faktami dokonanymi [2]).

Zarysowuje się więc *konieczność uzależnienia całej polityki państwowej* we wszystkich jej resortach i przejawach *od zamierzeń polityki ludnościowej*. Cele polityki ludnościowej muszą być respektowane na każdym kroku, przy każdej sposobności i przez wszystkich. Każda ustawa i każde zarządzenie winny być przed uzyskaniem sankcji przedmiotem ścisłej analizy demograficznej, czy i o ile odpowiadają intencjom polityki ludnościowej.

Tak rozumiana polityka ludnościowa zajmuje *stanowisko nadrzędne*, co umożliwia jej systematyczną realizację zadań, niezależnie od tego, czy kładzie większy nacisk na zagadnienia ilościowe, czy akcentuje problemy jakości, czy też zdąża w kierunku realizacji obu celów.

---

[1]) Zwiększenie rodziny prowadzi w prostej linii do pauperyzacji, obniżenia standardu życia i uniemożliwia m. in. staranniejsze wychowanie potomstwa. Poza tym niemałą rolę gra w ogóle niechęć do obarczania się potomstwem, wzmagająca się w ślad za wzrostem epikureizmu społecznego.

[2]) Brak międzyresortowej koordynacji zamierzeń odbija się niejednokrotnie w fatalny sposób na społeczeństwie. Np. wadliwie i krótkowzrocznie, bo wyłącznie pod kątem widzenia oszczędnościowym, ujęta *kapitalizacja szkolna* zasila wprawdzie zasoby P. K. O. — *ale pozbawia dziecko cukru*. Podobne skutki, choć na większą skalę, pociąga za sobą zakładanie mleczarń i spółdzielni mleczarskich w ubogich okolicach o przewadze gospodarstw jednokrowich. Osiągają one pewne wyniki handlowe, ale przyczyniają się do systematycznego fizycznego wyniszczenia młodzieży, pozbawionej bezlitośnie mleka. Podobnych przykładów można by przytoczyć znacznie więcej, lecz nie o to przecież idzie, a o wykazanie, że krótkowzroczna polityka resortowa, dążąc do realizacji *drobnych* osiągnięć, wyrządza *niepowetowane szkody ogólnogospodarcze:* przyczynia się bowiem do fizycznego karlenia i cherlactwa podrastającego pokolenia.

Jedynym państwem, które stara się w tej płaszczyźnie rozwiązać zagadnienie ludnościowe, są narodowo-socjalistyczne Niemcy. Ich polityka ludnościowa rozwija się w obu kierunkach, jakkolwiek na stronie ilościowej spoczywa zdecydowanie silniejszy akcent. Celem zapewnienia maksimum wyników nie zawahał się rząd niemiecki przed zupełną reorganizacją ustawodawstwa skarbowego i planuje cały szereg dalszych równie rewelacyjnych posunięć w innych dziedzinach życia gospodarczego, społecznego, uprawnień obywateli i t. p.

Krótko mówiąc, polityka ludnościowa może poprzestać na działaniu środkami polityki społecznej, albo zmierzać do zajęcia stanowiska nadrzędnego, wysuwając cele swe jako miarodajne dla organizacji i reorganizacji ustroju społecznego na nowych zasadach.

Doświadczenie wykazuje, że pierwsze rozwiązanie, praktykowane w państwach kulturalnie zaawansowanych, gospodarczo silnych — prowadzi do korzystnych wyników w zakresie jakości, zawodzi natomiast przy polityce ilościowej. Rozwiązanie drugie zdaje się rokować obok dodatnich rezultatów jakościowych lepsze wyniki ilościowe.

Z polskich ekonomistów i demografów prekursorką nadrzędnie pojmowanej polityki ludnościowej była *dr Zofia Daszyńska-Golińska*, która — licząc się z małym zrozumieniem społeczeństwa dla omawianych zagadnień — wprowadziła termin *polityki populacyjno-społecznej* [3].

Środki działania polityki populacyjnej. Niezależnie od swego charakteru (socjalna, nadrzędna), może się polityka populacyjna zwracać już to w kierunku zwiększania liczebności społeczeństwa, już też dążyć do poprawy jakości materiału ludzkiego, przy czym na szczególną uwagę zasługuje fakt, że chociaż „międzynarodowe stanowisko państwa jest funkcją obu czynników" nigdy jeszcze i nigdzie nie udało się osiągnięcie równorzędnie pełnowartościowych wyników w zakresie obu czynników. Z reguły zwycięża albo jakość kosztem liczebności, albo liczebność ze szkodą jakości. Wzmiankowana współzależność jest tak wyraźna i do tego stopnia notoryczna, że zdaje się wyrastać do roli prawidła demograficznego. Równocześnie zaznaczyć należy, że środki działania właściwe obu kierunkom polityki ludnościowej zazębiają się między sobą i przenikają wzajemnie obie dziedziny polityki ludnościowej.

W rzędzie środków polityki jakościowej wysuwa się na pierwszy plan *ustawodawstwo eugeniczne*, stosowane w trzech zasadniczych formach, a to jako: ustawodawstwo eugeniki pozytywnej, czyli twórczej, zapobiegawczej i ograniczającej, czyli negatywnej.

Eugenika pozytywna obejmuje przede wszystkim środki o charakterze gospodarczym i ma na celu popieranie korzystnego rozrodu. Na jej przykładzie bodaj że najlepiej obserwować można wzmiankowane poprzednio zazębianie się środków działania właściwych obu kierunkom polityki populacyjnej, ponieważ ideą naczelną ustawodawstwa eugeniki twórczej jest umożliwienie silnego liczebnie rozrodu sferom, zapewniającym wysoką jakość materiału ludzkiego. Ze względu na to, że w zakres środków eugeniki pozytywnej wchodzą posunięcia o charakterze par excellence ekonomicznym, mogące znaleźć i znajdujące istotnie zastosowanie we wszystkich wypadkach, gdzie idzie o podniesienie liczebności rozrodu, przesunięto ich zestawienie i omówienie do ustępu, zajmującego się popieraniem rozrodu ilościowego.

Ustawodawstwo eugeniczne poszczególnych państw pozostaje pod przemożnym wpływem panujących poglądów antropologicznych i genetycznych. Tymczasem jedne i drugie należą do najbardziej spornych i tylko w nielicznych wypadkach opinie są uzgodnione. Nieporozumienia wyrastają już to na tle rozbieżności, jaka zachodzi pomiędzy społeczną a biologiczną przydatnością jednostki do rozrodu, już też w związku z różnicami, które się ujawniają przy społeczno-politycznej ocenie typu antropologicznego. Rozbieżność, zachodzącą pomiędzy społeczną a biologiczną przydatnością jednostki do rozrodu, uwypuklił w ostatnich czasach najdobitniej *I. B. S. Haldane* [4]), podkreślając, że z punktu widzenia biologicznego i zgodnie z teorią Darwina należało by przyznać pierwszeństwo rozrodu warstwom najsilniej się mnożącym (boć ta, a nie inna cecha dowodzi przydatności biologicznej), które społecznie nie są pożądane, ponieważ silnemu ich rozrodowi towarzyszy marnotrawstwo sił, jako też niższa pod każdym względem jakość materiału ludzkiego. Równocześnie ten sam autor stwierdza, że ani inteligencja, ani zdolność zdobywania bogactw i władzy nie są dziedziczne — co stawia z kolei pod znakiem zapytania celowość eugeniki społecznej i budzi wątpliwości, czy popieranie rozrodu warstw społecznie „wyżej stojących" jest z punktu widzenia biologicznego i eugenicznego uzasadnione. W konsekwencji zwalcza Haldane przymus eugeniczny jako niedostatecznie naukowo ugruntowany, zajmując pod tym względem stanowisko zgodne z wieloma innymi badaczami, przeciwstawiającymi się eugenice ograniczającej.

Równie sporna jest kwestia społecznej roli i przydatności typów antropologicznych, zarysowana najjaskrawiej i najskrajniej w Niemczech i Włoszech w formie rasizmu, nieuznawanego i zwalczanego gdzie indziej. Miarą płynności poglądów naukowych w tej dziedzinie może być fakt dopatrywania się przez jednych źródeł świeżości, tężyzny i siły witalnej w krzyżowaniach antropologicznych (np. *C. Gini*), gdy inni, jak np. *H. Günther*, głoszą opinię diametralnie przeciwną. Nie przesądzając po czyjej stronie opowie się kiedyś obiektywnie nauka, stwierdzić należy, że współczesne ustawodawstwo eugeniczne jest w pierwszym rzędzie następstwem subiektywnych poglądów ustawodawcy. Niemniej stwarza ono szereg przymusowych norm prawnych, ujmujących życie ludzkie w karby i wpływających na rozród.

W zakresie *eugeniki zapobiegawczej* znajdują zastosowanie: poradnictwo przedślubne, świadectwa małżeńskie, ustawodawstwo antyweneryczne, prawo małżeńskie, ochrona kobiet ciężarnych, zakaz zatrudniania dzieci, kursy macierzyńskie, pielęgnacji niemowląt itd. Zależnie od opinii o społecznej roli typów antropologicznych dochodzi tu do głosu ustawodawstwo o ochronie rasy, zakazy o małżeństwach mieszanych itp. Eugenika zapobiegawcza ma na celu walkę ze wszystkim, co może szkodzić zdrowiu przyszłych małżonków, ich potomstwa oraz wychowaniu fizycznie i duchowo zdrowych jednostek. W ten sposób cały właściwie dział opieki nad dzieckiem zaliczyć należy do eugeniki zapobiegawczej. Ogromnie ważną rolę spełniają też należycie prowadzone poradnie małżeńskie. Najcharakterystyczniejszą cechą eugeniki zapobiegawczej jest jej nawskroś humanitarny i pełen głębokiej życzliwości stosunek do jednostki, który musi znaleźć uznanie w oczach każdego rozumnego człowieka, bez względu na to, czy jest wyznawcą polityki ilości, czy jakości.

Inaczej eugenika negatywna; wkracza ona bezapelacyjnie w życie jednostki, kierując się „interesem" ogółu. Środki, którymi działa, są bez wyjątku brutalne i oparte na przemocy fizycznej, przy czym szczególnie ostre sprzeciwy wywołuje sterylizacja i kastracja. Wielu zaś autorów wysuwa bardzo poważne obiekcje co do potrzeby i słuszności odosobniania niektórych grup chorych [5]).

Mimo wszystko, wydaje się, że absolutne potępienie i odrzucenie eugeniki negatywnej nie było by w pełni uzasadnione. Trudno bowiem zrezygnować ze środków zapobiegających powoływaniu do życia jednostek niewątpliwie obciążonych dziedzicznie. Nieodzowną jest jednak duża ostrożność i maksymum obiektywizmu przy podejmowaniu decyzji, przesądzających szczęście osobiste osób chorych, ułomnych i upośledzonych. Poza tym wydaje się, że stosowanie eugeniki negatywnej nie powinno wyprzedzać w żadnym razie eugeniki twórczej i zapobiegawczej, wyjąwszy wypadki, niepodlegające w świetle dzisiej-

---

[3]) *Zofia Daszyńska-Golińska* — Zagadnienie polityki populacyjnej, Warszawa, 1927, str. 151 — 153.

[4]) Cytuję za artykułem M. O. „Dziedziczność a polityka", Gazeta Polska, 1938, z dn. 5.V.

[5]) Kapitalne obliczenie daje *Haldane;* udowadnia on mianowicie, że uniknięcie urodzin jednego schizofrenika połączone jest ze sterylizacją 16 chorych i z rezygnacją z 10 zdrowych dzieci (cf. Gazeta Polska, 5.V.1938).

szego stanu wiedzy dyskusji. Wszystkie przesłanki etyczne przemawiają przede wszystkim za stwarzaniem warunków, sprzyjających korzystnemu rozrodowi, a za przesunięciem działalności negatywnej — o ile jest się jej zwolennikiem w ogóle — na czas późniejszy. W społeczeństwie uświadomionym stanie się ona w swej brutalnej formie w znacznej mierze zbędna, ponieważ w dużej liczbie wypadków postulować ją będą dobrowolnie zainteresowani, co zasadniczo zmieni moralny charakter jej zabiegów.

Ilościowa polityka populacyjna dysponuje bez porównania bogatszym arsenałem środków aniżeli polityka jakości. Środki działania ilościowego dzielą się w najgrubszym zarysie na dwie kategorie. Do pierwszej należą wszelkiego rodzaju zakazy przeciwdziałania koncepcji, ograniczenia w rozpowszechnianiu, propagowaniu i sprzedaży środków antykoncepcyjnych, oraz rygorystycznie egzekwowane ściganie spędzań płodu. Grupa druga obejmuje środki akcji pozytywnej. Cechuje ją szeroka na ogół rozbudowa, uwzględniająca psychologiczne właściwości mieszkańców poszczególnych państw. W pierwszym rzędzie wchodzi tu w rachubę progresywne premiowanie co raz dalszych urodzeń, dbałość o interesy rodzin wielodzietnych, jako też system przywilejów dla dzieci z rodzin wielodzietnych oraz dla ich rodziców.

Rozbudowa pozytywnych środków polityki ludnościowej jest o tyle ułatwiona, że państwa, popierające rozród, bacznie obserwują skuteczność stosowanych metod i dokładają starań, by jak najdokładniej wyzyskać cudze doświadczenia.

Polityka ludnościowa w praktyce. Wydzielanie w ramach polityki populacyjnej kierunku ilościowego i jakościowego ma nade wszystko znaczenie teoretyczne, ponieważ dążeniem każdego nowoczesnego państwa jest systematyczne podnoszenie poziomu kulturalno-cywilizacyjnego swych obywateli. W państwach gospodarczo zaniedbanych utrudnia tę akcję wysoki przyrost naturalny; w państwach o wyższym poziomie życia względy oportunistyczne, epikureizm i wygodnictwo osobiste wpływają osłabiająco na rodność.

To samo zjawisko miewa miejsce w ramach jednego społeczeństwa, gdzie warstwy uboższe i kulturalnie zaniedbane rozradzają się szybciej niż sfery zamożniejsze. Owo *społeczne zróżnicowanie rodności* jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech współczesnego rozrodu i walka z nim stanowi bodaj że główny cel polityki populacyjnej w większości państw. Nacisk, jaki spoczywa na przeciwdziałaniu społecznemu zróżniczkowaniu rodności, tłumaczy się wybitnie niekorzystnymi zjawiskami, jakie proces ten za sobą pociąga. Zmniejszanie się liczby urodzeń w rodzinach inteligenckich, a w szerszym zakresie — wśród ludności miejskiej, wywołuje ciągły napływ ludności ze wsi. Na skutek ambicji osobistej i wpływu środowiska ulega ludność napływowa pędowi do dźwigania się w hierarchii społecznej, ogranicza więc rozrost, celem zapewnienia staranniejszego wychowania swej progeniturze. Dobijanie się wyższych szczebli społecznych, połączone z przeciągającymi się studiami, odracza czas zawierania małżeństw, przesuwa ku górze wiek nowożeńców i wprowadza w małżeństwo osobnika w stanie silnego wyczerpania fizycznego na skutek długoletnich i w trudnych warunkach odbywanych studiów. Jest rzeczą oczywistą, że w tych warunkach powstałe małżeństwo — nawet w wypadku jako tako zapewnionego bytu — nie chce mieć dzieci natychmiast. Tą drogą wieś traci element niewątpliwie wartościowy i znakomicie wyselekcjonowany, miasto zaś nie odnosi z niego istotnego pożytku demograficznego. Tak więc proces *metabolizmu społecznego* potrzebny i niezbędny w każdym społeczeństwie dla zasilania ludności miejskiej i inteligencji nowymi elementami przebiega w dzisiejszych warunkach wybitnie niekorzystnie i ujemnie, stając się jednym z głównych źródeł marnotrawstwa żywej siły ludzkiej. Zadaniem polityki ludnościowej musi być ułatwianie metabolizmu i stwarzania warunków, które by tego koniecznego, potrzebnego i zdrowego procesu nie przeobrażały w niebezpieczeństwo społeczne.

W praktyce musi się tedy polityka ludnościowa zwracać w kierunku zwiększenia rodności i potęgowania liczby urodzeń, w mniejszym zaś stopniu i pośrednio tylko przypada jej zadanie podnoszenia przyrostu naturalnego. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że cechą polityki ilościowej jest dążenie do wzmagania stopy urodzeń, znamieniem zaś polityki jakościowej staranie o zwiększenie przyrostu naturalnego. Nie jest to to samo, gdy się uwzględni, że podniesienie przyrostu naturalnego można osiągnąć bez zwiększenia liczby urodzeń na drodze wzmocnienia opieki nad niemowlęciem i poprawy warunków materialnych i higienicznych całej ludności. Nie wolno jednak zapominać, że zwiększenie przyrostu naturalnego poprzez opanowanie umieralności daje efekty pozorne i krótkotrwałe. Społeczeństwo się starzeje. Jego struktura wiekowa ulega zaburzeniu, które musi z biegiem czasu znaleźć wyraz w postaci dalszego spadku urodzeń. Wypływa stąd *wniosek o niewystarczalności polityki ściśle jakościowej* na dłuższą metę i o *bezwzględnej konieczności* prowadzenia również i *polityki ilościowej* ściślej o konieczności stosowania polityki ilościowo-jakościowej. Z punktu widzenia bowiem dalszej przyszłości, konieczne jest dążenie do zwiększenia liczby urodzeń, które jednak bez równoczesnej dbałości o fizyczną i psychiczną jakość podrastającej ludności, mogłoby się łatwo rozminąć zarówno z potrzebami państwa, jak społeczeństwa.

L. Nogiński

O racjonalną gospodarkę leśną

„Musimy zwrócić uwagę całego społeczeństwa na doniosłe zagadnienia, związane z utrzymaniem lesistości państwa.

Musimy budzić w społeczeństwie świadomość obowiązku przekazania następnym pokoleniom lasów, jako majątku narodowego — nie tylko w nieuszczuplonym lecz pomnożonym stanie przez zalesienie rozległych jeszcze, niestety, nieużytków... Trzeba wzbudzić świadomość, że las, jako dobro całego narodu, winien być otoczony przez wszystkich troskliwą i rozumną opieką".

(Przegląd Zw. Leśników R. P.).

Polska poczyna już odczuwać fatalne skutki dewastacji lasów, między innymi w postaci klęsk powodzi i posuchy. Podobne klęski w postaci rozlewu rzek i burz piaszczystych przeżywa dziś w wielkim stopniu Ameryka. O znaczeniu gospodarczym tego zagadnienia może świadczyć obliczenie, że na ponowne zalesienie piaszczystych dziś nieużytków w Stanach Zjednoczonych potrzebna byłaby kolosalna suma około pięciu miliardów dolarów.

Zastanówmy się nad tym, jak opiekujemy się lasami w Polsce? W roku 1793 odsetek zalesienia stanowił w Polsce 43% obszaru, w 1935 — tylko 18,7%, obecnie jeszcze jest mniejszy. Według danych przedostatniej wystawy leśnej w Dyrekcji Lasów Państwowych w 1920 roku w Polsce było lasów 9 milionów ha, według zaś urzędowych danych obecnych (budżet na 1938/39 r.) powierzchnia lasów państwowych stanowi 2.492.581 ha, powierzchnia lasów prywatnych 5.283.427 ha, czyli razem 7.766.008 ha. Wynika z tych danych, że powierzchnia lasów w Polsce od roku 1920 do 1938 zmniejszyła się o 1.233.992 ha.

Gdyby nadal w takim tempie dewastowano lasy, to za 100 lat Polska stałaby się pustynią pozbawioną lasów. Dość powiedzieć, że już dziś przeciętnie na głowę Europejczyka przypada 0,57 ha lasu, gdy na jednego Polaka 0,24 ha, czy nawet 0,22 ha.

W 1920 roku Naczelnik Państwa J. Piłsudski, celem ochrony lasów od dewastacji, wydał dekret o wywłaszczeniu prywatnych lasów. Niestety, dotychczas nie zostały wydane zarządzenia wykonawcze.

Wobec tak nieokreślonej sytuacji prawnej — prywatne lasy stały się jakby bezpańskimi. Prywatni właściciele, niepewni jutra w posiadaniu lasów, starają się tępić je jak najprędzej. W przeciągu jednego tylko roku 1936 ujawniono 2.912 nieprawnych wyrębów i skonfiskowano 22.379 m³ drewna. Ile jednak dokonano wyrębów nie ujawnionych? Kontrola jest trudna przy niedostatecznej ilości kontrolerów. Nie brak również pewnych przejawów dziwnego zaciemniania sytuacji. Tak więc poważnie niebezpieczne dla przyszłości lasów mogą być maksymy w rodzaju wygłoszonego publicznie zdania: „Patrzymy przez palce na wyręby nielegalne, o ile właściciele są w trudnych finansowych warunkach lub pozawierali długoletnie umowy". Niemniej niebezpieczne są też i inne obietnice, w rodzaju przyrzeczenia jednego z działaczy, który przemawiając do chłopów w ziemi nowogrodzkiej, obiecuje im: „wyrwiemy ziemię spod lasów i rozparcelujemy śród chłopów".

Jedno jest pewne. Lasy w Polsce traktowane są po macoszemu i nie mają należytych opiekunów. Bezpańskie sieroty — lasy prywatne — znikają w przeważającej ilości, chociaż jakość ich, gorsza niż lasów państwowych, gdyż posiadają tylko 25,7% drzewostanu powyżej 60 lat. Znikają nie tylko lasy i zagajniki, lecz całe puszcze. Tak więc zostały wycięte w pień puszcze — Wiśniewska, Baksztańska, Nalibocka. Dosyć przejechać szosą od Wilna do Lidy i Nowogródka, aby zobaczyć smutne cmentarzysko byłych pięknych lasów. Mówimy o rozwoju przemysłu na Kresach Wschodnich, równocześnie jednak niszczymy bez miłosierdzia jedyny surowiec tej dzielnicy — drzewo. Już w województwach wschodnich są objawy braku lasów prywatnych. W Nowogródczyźnie brak u chłopów drzewa budowlanego daje się odczuwać bardzo silnie. A równocześnie prowadzimy eksport o charakterze dalekim od przezorności. Pod względem lesistości Polska zajmuje 13-te miejsce w Europie, pod względem eksportu 4-te miejsce. Wywozimy przy tym przeważnie nie fabrykaty z drzewa, lecz surowiec drzewny. W 1936 roku na 163.000.000 zł. ogólnego eksportu drzewa wywieźliśmy fabrykatów tylko za 14 milionów zł. Nasz surowiec drzewny idzie do krajów, które stosunkowo więcej posiadają lasów (Szwecja, Niemcy), lecz które wolą z taniego polskiego drzewa wytwarzać fabrykaty, niekiedy z powrotem wracające do Polski. Komunikaty prasowe straszą nas utratą rynków zbytu, gdybyśmy zmniejszyli ilość wyrębów; zapominają jednak o tym, że my stoimy już dzisiaj poniżej cyfry 0,30 ha na człowieka, która uważana jest za dolną granicę możliwości eksportu drzewa państw uprzemysłowionych.

Zwolennicy utrzymania obecnego eksportu drzewa zapominają o potrzebach przyszłego kulturalnego rozwoju Polski. Przyjmują pod uwagę dzisiejszą chłonność na drzewo rynku wewnętrznego, nie myślą o przyszłości. A przecież nie mamy prawa zapominać, że wraz z rozwojem przemysłu powstają ośrodki robotnicze, domy społeczne, gmachy administracyjne, biblioteki, teatry, budują się drogi, mosty, powiększa się sieć kolei żelaznych, telegrafów i telefonów, rozwija się górnictwo, powiększają miasta, budują się szpitale, ośrodki zdrowia, przedszkola, uniwersytety ludowe, szkoły powszechne i zawodowe. To są wzrastające potrzeby miast. Równocześnie na wsi powstają nowe zagrody wobec komasacji, parcelacji i melioracji. Z rozwojem kultury rolnej i rentowności gospodarstw wiejskich chłop polski nie może mieścić się w dotychczasowej brudnej i ciasnej chałupie. W Danii kolonista polski na dwunastomorgowym gospodarstwie mieszka w czteropokojowym, zelektryfikowanym domku. Chłop polski w kraju również ma prawo dążenia do czystego i dostatecznie obszernego mieszkania. Lecz potrzeby mieszkalne wsi to nie wszystko. Musimy wierzyć, że w miarę rozrostu wsi powstawać będą tam gmachy spółdzielni, rozwinie się mleczarstwo, pszczelnictwo, ogrodnictwo, hodowla drobiu i trzody. Wszystko to będzie wymagać inwestycyj i urządzeń gospodarczych, a więc będzie wymagać bardzo wiele drzewa. Również nasze zakłady stolarskie, meblarskie, bednarskie i kołodziejskie będą potrzebować znacznie zwiększonej ilości surowca w stosunku do stanu dzisiejszego. Czy nie byłoby więc wskazane, ażeby Dyrekcja Lasów Państwowych i prywatni właściciele wielkich lasów, zamiast wysyłać z Polski materiał w stanie surowym, pomyśleli o przygotowaniu znormalizowanej stolarszczyzny do budowy domów, co znakomicie przyczyniłoby się do potanienia rozbudowy miast i zabudowań wiejskich?

Niesłychane wprost możliwości zwiększenia zapotrzebowania drzewnego ukrywa w sobie dział przetwórstwa chemicznego. Już w obecnej chwili drzewo może służyć jako surowiec chemiczny do wyrobu celulozy, pośrednio więc papieru, czy włókna ciętego. Drzewny surowiec może być również użyty na znakomite płyty ze sproszkowanego drzewa, które w Ameryce i Niemczech w zupełności zastępują płyty korkowe przy izolacji cieplnej i akustycznej. Do produkcji tych płyt można używać najprostszego drzewa opałowego. Drzewo może służyć również jako surowiec przy suchej destylacji, wytwarzającej t. zw. wapno szare, z którego przygotowuje się kwas octowy i aceton. Dalej z drzewa wydobywa się węgiel aktywny i cukier drzewny, z którego znowu wyrabia się drożdże pastewne, alkohol, glicerynę oraz rozpuszczalniki, niezbędne w przemyśle lakierniczym. Pochodnymi celulozy są: nitroceluloza, niezbędna przy fabrykacji materiałów wybuchowych oraz aceluloza, mająca olbrzymie zastosowanie przy produkcji filmowej i fotografii. Z drzewa możemy otrzymać: asfalt, kreozot, terpentynę, lakiery, olejki eteryczne, etyl, kolodium, nawet paszę dla bydła. Jakież więc bogactwa tają w sobie nasze lasy, które tak lekkomyślnie dewastujemy?!! Całe gałęzie przemysłu, opierając się na surowcu drzewnym, mogą dać pracę dla dziesiątków tysięcy robotników stałych i jeszcze większej ilości robotników dorywczych. Nie naruszając więc stałego kapitału leśnego, ze sprzedaży fabrykatów z drzewa, Polska mogłaby w rezultacie otrzymywać daleko więcej, niż sprzedając surowiec drzewny i ogałacając kraj z lasów.

Lecz lasy państwowe wpłacają dziś do Skarbu Państwa około 40 mil. zł. rocznie. Skąd znaleźć pokrycie tej sumy? Spójrzmy na całość naszego bilansu handlowego.

W roku 1937 sprowadziliśmy papieru i wyrobów z niego z zagranicy za 26 mil. zł., owoców południowych za 35 milionów, win i rozmaitych produktów spożywczych za 110 milionów. Stan ten nie może być uważany za normalny. Nie można się pocieszać, że towar ten otrzymujemy na drodze wymiany. Nasi sąsiedzi obchodzą się nawet bez importowanego masła, ażeby tylko zachować równowagę budżetową, aby tworzyć zapasy surowców. My pozwalamy sobie sprowadzać 800 wagonów kakao za 5 mil. zł., najrozmaitsze wina i inne towary luksusowe, płacąc za nie, między innymi, tak ważnym z punktu widzenia przyszłości i tak nieracjonalnie zużytym surowcem drzewnym. Trzeba postawić sprawę jasno. Jeżeli my wysyłamy za granicę towary gospodarczo niezbędne, jak drzewo, cukier, węgiel, zboże, wzamian zaś otrzymujemy perfumy, jedwabie, kawior, wina itp. — to z punktu widzenia przyszłości gospodarczej oddajemy nasz majątek darmo, najwyżej za możność doraźnego użycia, za luksus egzystencji, na którą nas, jako społeczeństwa, nie stać. Jakiż stąd wniosek? W zakresie gospodarki leśnej zupełnie prosty. Trzeba niezwłocznie przystąpić do zestawienia inwentarza i ścisłej statystyki lasów państwowych i prywatnych; przystąpić do obrachunku zapotrzebowania w przyszłości najbliższej rynku wewnętrznego, dalej przystąpić do budowy fabryk, ażeby zamiast drzewa surowego wywozić fabrykaty gotowe.

Wobec tego, że lasy są dobrem całego Narodu, a dotychczas dobro to pozostaje bez dostatecznej kontroli na miejscu, należy niezwłocznie przystąpić do organizacji gminnych, powiatowych i wojewódzkich komitetów ochrony lasów. W skład tych komitetów powinni wejść przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Przemysłu i Handlu, miejscowych izb gospodarczych, przedstawiciele samorządu gmin, powiatów i województw, przedstawiciel Towarzystwa Ochrony Przyrody, przedstawiciele Towarzystwa Krajoznawczego i Turystycznego. Bez opinii wspomnianych komitetów nie powinien być dokonany żaden wyrąb, ponieważ nieoględna dewastacja lasu może ujemnie wpłynąć na miejscową gospodarkę, urodzaje, wreszcie na zdrowotność społeczeństwa i bezpieczeństwo w razie wojny. Z tego ostatniego punktu widzenia las dzisiaj musi być traktowany już nie tylko jako zapora dla posuwającej się armii, lecz również jako najbardziej naturalny masowy schron w razie ataków gazowych.

Obowiązkiem komitetów ochrony lasów powinno być również planowe zalesienie nieużytków, troska o walkę ze szkodnikami lasów i opieka nad krajobrazem. W tym celu powinny być sadzone w większej ilości zagajniki, gdzie mogłyby gnieździć się ptaki — przyjaciele rolnika; zamiast płotów należy propagować sadzenie żywopłotów, gdzie również może gnieździć się ptactwo śpiewające, niszczące szkodliwe dla rolnictwa robactwo, przy czym żywopłoty znakomicie przyczyniają się do upiększenia zagród wiejskich i ogólnego krajobrazu.

Na XIV Międzynarodowym Zjeździe Mieszkaniowym i Planowania Miast w Londynie w 1935 roku było wybrane, jako temat programowy, planowanie osiedli wiejskich. Podczas dyskusji omawiano również znaczenie należytego planowania zagród dla rozwoju ekonomicznego i zdro-

wotnego wsi i dla piękna krajobrazu wiejskiego. Podnoszono wówczas, że jednym z najważniejszych czynników piękna krajobrazu jest należyte zalesienie okolic. Piękno krajobrazu angielskiego nie polega na kilku wybranych ładnych miejscach: ogólny charakter krajobrazu stwarza to piękno. Zagadnienie to jest jednak należycie docenione. Rada Zachowania Terenów Wiejskich w Anglii dąży do współdziałania wszystkich organizacyj, które zainteresowane są w rozwoju i zachowaniu krajobrazu wiejskiego. W Stanach Zjednoczonych A. P., w Niemczech, we Włochach i Danii istnieje w tym zakresie współpraca miejscowych organizacji społecznych i samorządowych z instytucjami państwowymi.

W Polsce dziś przeżywamy doniosłe procesy nowej organizacji życia wiejskiego (komasacja, melioracja, parcelacja). O ile w takim okresie nie przystąpimy niezwłocznie do ochrony od dewastacji resztek lasów, jako najważniejszego czynnika podnoszenia zdrowotności, dobrobytu i piękna wsi, to wkrótce może być za późno dbać o to, gdy znikną w większości okolic lasy nieodnawiane dostatecznie i pozostaną tylko smutne, szare i monotonne bezleśne pola, uprawiane przez ubogiego rolnika.

MATERIAŁY

J. R.

Przypomniana ustawa węgierska o autonomii dla Słowacji z 1919 r.

W połowie września roku bieżącego, w momencie największego zaognienia sprawy czechosłowackiej, jeden ze słowackich periodyków, reprezentujących kierunek autonomistyczny, wystąpił z artykułem, w którym przypomniał zapomniany a nadzwyczaj interesujący epizod, dotyczący sformułowań politycznych aspiracyj słowackich. Epizodem tym jest węgierska ustawa o autonomii Słowacji z 1919 r.

Przyłączenie Słowacji do nowego państwa czechosłowackiego, w wyniku deklaracji świętomarcińskiej i okupacji Słowacji przez czeskie siły zbrojne, nie położyło końca zagadnieniu słowackiemu. Rząd rewolucyjny Karolyego, który przyszedł do władzy na Węgrzech po przewrocie listopadowym 1918 roku, był pełen chęci zaniechania tych błędów, które rządy poprzednie w stosunku do mniejszości popełniły. Jeszcze w listopadzie roku 1918 prowadził on rozmowy z przywódcami słowackimi, posłał telegram Słowackiej Radzie Narodowej z Turczańskiego Świętego Marcina. A i później nie zaniechał myśli o łączności Słowacji z Węgrami z szerokimi swobodami dla Słowaków. Wyrazem tego była ustawa o autonomii dla Słowacji, z dnia 11 marca 1919 r. pod tytułem „Ustawa ludowa nr. 30 z 1919 r. o samorządzie kraju słowackiego" (Tótország). Artykuł pierwszy tej ustawy głosi, że z ziem północnych Węgier tworzy się autonomiczny obszar pod nazwą Kraju Słowackiego (Tótország). Artykuł drugi określa, że obszar ten będzie posiadał zupełną autonomię w zakresie ustawodawstwa, administracji wewnętrznej, sądownictwa, nauczania, spraw wyznaniowych. Kraj słowacki (art. III) ma się dzielić na trzy gubernie. Kraj słowacki zawiaduje swoimi sprawami przy pomocy swoich własnych organów (art. IV), a w rzeczach wspólnych dzieli rządy z rządem węgierskim. Sprawami wspólnymi są: prawodawstwo i te wszystkie sprawy, które nie są określone mocą tej ustawy, jako podpadające pod zakres działań autonomii słowackiej. Artykuł V zabezpiecza prawo do używania języka macierzystego dla tych mniejszości, które znajdują się na obszarze Słowacji. Artykuł szósty określa, że organami ustawodawczymi dla Kraju Słowackiego są: w sprawach autonomicznych Zgromadzenie Narodowe Kraju Słowackiego, w sprawach wspólnych z Węgierską Republiką Ludową wspólny sejm węgierski. Na sejmie tym Kraj Słowacki musi być reprezentowany w stosunku odpowiadającym ilości jego mieszkańców. Według artykułu VII prawo wyborcze w kraju słowackim jest tajne, powszechne, równe, bezpośrednie, obejmujące i kobiety. Organami rządowymi są (art. VIII): ministerstwo dla Kraju Słowackiego i trzy gubernie. Stosownie do artykułu IX na czele ministerstwa kraju Słowackiego stoi minister, odpowiedzialny tak przed zgromadzeniem narodowym słowackim jak i przed parlamentem węgierskim. W sprawach wspólnych jest on równoprawnym członkiem rządu węgierskiego, w sprawach autonomicznych najwyższym organem władzy. Jego zastępcą jest podsekretarz stanu. Artykuł X głosi, że na czele gubernii stoją gubernatorzy, których sposób nominacji będzie określony przez słowackie zgromadzenie narodowe. Kontrolę i nadzór nad guberniami wykonuje minister kraju słowackiego (art. XI). Artykuł XII powierza rządowi, wspólnie z ministrem kraju słowackiego, wykonanie tej ustawy; pokrycie finansowe będzie ustalone wspólnie z ministrem finansów dopóki nie będą funkcjonowały słowackie ciała autonomiczne. Według art. XIII majątki i dobra państwowe na Słowacji przejdą w dzierżawę Kraju Słowackiego. Wreszcie artykuł XIV określa sposób przeprowadzenia i wykonania powyższej ustawy, a artykuł XV głosi, że ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Ze strony słowackiej, ogłaszając obecnie tę ustawę, słusznie zauważono, że przez ogłoszenie jej w węgierskim dzienniku ustaw (Orszàgos Törvènytár) nr. 18 z 12 marca 1919 r., ustawa ta weszła w życie. Warte to jest z tego względu uwagi, że była to jedyna węgierska ustawa, zabezpieczająca słowackie prawa narodowe, o co Słowacy walczyli i czego domagali się w memorandach z 1848 r., 1861, czy 1915. Jeżeli chodzi o zakres działań, to ustawa ta była sformułowana dość śmiało, przewyższała tak pierwotne projekty samorządu dla Słowacji w ramach Czechosłowacji, układane przez M. Hodżę, z których został się tylko — zresztą i tak później zniesiony — urząd „ministra dla Słowacji", no i niezrealizowany projekt słowackiej Rady Szkolnej, jak i późniejszą ustawę i samorządzie słowackim, uzyskaną za cenę wstąpienia stronnictwa ks. Hlinki do rządu w 1927 roku. Za to projekt ten można przyrównać do interesującego projektu, jaki złożyli w roku bieżącym w parlamencie czeskosłowackim posłowie stronnictwa ks. Hlinki.

Oczywiście, mimo formalnego wejścia w życie, wspomniana ustawa węgierska faktycznie nigdy wykonywana nie była. W chwili jej wydania cała Słowacja była już okupowana przez Czechów. Gdy nawet później, w lecie 1919 r., wojska Beli Kuhna zajęły przejściowo część Słowacji, nie wprowadziły tam tej ustawy, ustanawiając tylko jakiś rząd bolszewicko-słowacki, coś jak „polski" rząd Marchlewskiego i Kohna z 1920 r. Po przyjściu do władzy admirała Horthyego wszystkie ustawy, rozporządzenia i zarządzenia z czasów rządu republikańskiego zostały anulowane, a z nimi i ustawa o autonomii kraju słowackiego. Ciekawy ten epizod z niedawnych dziejów jest więc dziś już tylko wspomnieniem. Wymowę tylko posiada fakt ogłoszenia go przez organ najskrajniejszej grupy słowackich autonomistów, właśnie dziś, gdy ważą się losy republiki czechosłowackiej.

ŻYCIE PROWINCJI

Tadeusz Nowakowski

Bydgoszcz — miasto spokojne

Każde większe miasto ma swój slogan. Mówi się: miasto kominów, płuca Polski, Paryż północy. Rzadko jednak które miasto oblepiło się tak masochistycznymi etykietkami jak — Bydgoszcz. Sami Bydgoszczanie, ilekroć się zejdą, machają rękoma i z niezdrowym uśmiechem na ustach mówią: Bydgoszcz? — Gród emerytów! Abdera!! Wieś z tramwajami!!! Mimo, że ta Bydgoszcz jest grodem ogrodów, miastem wioślarzy i jednym z najczystszych miast w kraju.

Bydgoszcz ma obecnie 140 tysięcy mieszkańców. Z tą wsią więc to tęga przesada. Wiejski charakter Bydgoszczy wywodzi się zapewne ze spokojnego trybu życia tubylców. O godzinie dziesiątej wieczorem całe miasto leży w łóżku. Ulicami od czasu do czasu przemknie przybysz-alkoholik, policjant lub stróż nocny. Czasem, ale bardzo rzadko, taksówka na dworzec. Dwa dość możliwe i dwa całkiem niemożliwe lokale nocne stwarzają wątłe pozory t. zw. wielkomiejskiego życia. Parę neonów oszczędnie na noc się gasi. Środkiem chrapiącego grodu, obok nieestetycznie odnowionego Teatru im. Rostworowskiego (w którym przed paru tygodniami występował Solski w „Judaszu"),

sennie płynie Brda, rzeka znakomicie uregulowana, w górnym biegu stanowiąca niebywałą atrakcję turystyczną (spływ tratwą w korytarzu buńczucznie rozrosłych lasów). Niechby te tratwy, ta Brda i ten las leżały gdzieindziej — pielgrzymowano by do nich. Całymi rodzinami. Ale trzeba znać psychikę tubylców. Brzydzą się reklamą, hołdując niemodnej zasadzie: siedź cicho w kącie — i tak cię znajdą.

Niedaleko Osia leży Tleń. Miejscowość tak w swym pięknie niezwykła, że piórem piękna jej oddać nie sposób. Jezioro na jeziorze, bór na borze, powietrzem żywica — cenny prezent przyrody dla człowieka. Ale oprócz nielicznej garstki fanatyków, któż wie w Polsce o Osi, któż wie o Tleniu? Kolumbie Pomorza, gdzie jesteś?

Od niepamiętnych czasów Bydgoszcz i Toruń nie są przyjaciółmi. Antagonizm ten trwa już z dobrych pięć wieków. Bydgoszcz powstała Toruniowi na złość. Kazimierz Wielki, zakładając koło starego grodu miasto w 1346 r., zamierzał stworzyć handlową placówkę konkurencyjną dla zniemczonego Torunia. Cel udał się. Toruń wzywał nawet pomocy Hanzy i Zakonu, by zgnieść niemiłego konkurenta. Wówczas się nie udało. Jak jest dziś? Dziś Toruń ma województwo. Bydgoszcz ogołocono z instytucyj i urzędów. Nawet radiostacja stanęła nie w Bydgoszczy, tylko w Toruniu. Toruń jest pupilkiem — szemrzą rozgoryczeni Bydgoszczanie. W Bydgoszczy stoją puste gmachy, każdej chwili gotowe do objęcia, w Toruniu za grube pieniądze buduje się nowe. Toteż gazety bydgoskie nie szczędzą druku w obronie praw miasta. Obecnie Bydgoszcz woła gromkim głosem o Uniwersytet Pomorski, zdenerwowana decyzją władz, które Toruniowi przyznały kuratorium. Toruń broni się i odcina jak może, wiedząc dobrze, że jest miastem, przede wszystkim urzędniczym. Mimo to właśnie na Rozgłośni Pomorskiej, która stanęła nie w Bydgoszczy, lecz w Toruniu, daje się zauważyć silna przewaga kulturalna Bydgoszczy. W Bydgoszczy prócz trzech konserwatoriów muzycznych, pięciu zrzeszeń plastyków, bogatego muzeum (m. in cenne zbiory Wyczółkowskiego), niezłego Teatru (oryginalne wystawienie „Nie-boskiej"), Biblioteki Miejskiej (Biblioteka Bernardyńska z białymi krukami, między innymi księgozbiór Lenina), istnieje żywotna Rada Artystyczno - Literacka z wieloma sekcjami, posiadająca własną orkiestrę symfoniczną. Otóż okazuje się, że ze studia w Bydgoszczy idzie na antenę 70% żywych audycyj, mimo że Rozgłośnia jest w Toruniu, jak gdyby płyt nie mogła nadawać z Bydgoszczy.

Jak się przedstawia polityczne oblicze Bydgoszczy? Jedno trzeba na wstępie zaznaczyć: miasto to wcale nie uczuwa potrzeby politykowania. Wszystkie polityczne wypady w teren bydgoski napotykały na silne przeszkody, nade wszystko na tę podejrzliwość, która tak dobitnie znamionuje tubylców. W Bydgoszczy nie ma wcale młodzieży politykującej. Zorganizowany narybek Stronnictwa Pracy, które to stronnictwo, rozporządzając na terenie bydgoskim najpoczytniejszym organem („Dziennik Bydgoski"), posiada dość znaczne wpływy wśród robotników i rzemieślników (t. zw. „Jedność" i „Odrodzenie") — gra w ping-ponga i w szachy.. Młodzi endecy od czasu do czasu rozbiją jakieś zebranie „morżowców", wyzwą Hallera, w okresie Bożego Narodzenia wynajmą paru bezrobotnych do pikietowania dzielnicy żydowskiej (ul. Długa) i to wszystko. Starszym endekom, zazwyczaj zamożnym kupcom, już się nawet finansować tych przedsięwzięć nie chce. Lewicy poza nielicznymi socjalistami, nie ma. A prawica — plus catholique que politique — radykalizuje w obrębie encyklik papieskich. Klerykalizmu bowiem w Bydgoszczy nie brak. Poza tym miasto jest poprawnie narodowe, w pewnych porach miesiąca — antysemickie, ale beznamiętnie. Wybory ciekawe nie będą, nikt się nie pasjonuje ani przeciwdziałaniem im, ani propagandą, choć Obóz Zjednoczenia Narodowego robi co może. W sumie — politykę pod mikroskop biorąc — Bydgoszcz ziewa...

Ale ziewając — czuwa! Niezależnie od chwilowych orientacyj polityki zewnętrznej, mając jeszcze zaborcę w pamięci i znając go o wiele, wiele lepiej, niż kto inny, ma swój własny pogląd na niektóre zagadnienia. I dlatego nie uważa za rzecz błahą nawet tego rodzaju drobiazgów, jak to, że w pewnym momencie miejscowi piekarze Niemcy zaczynają wypiekać ciastka w kształcie swastyki. Wówczas Bydgoszcz przestaje ziewać, zaczyna warczeć. Kto zna miejscowe stosunki, dziwić się temu nie może.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Godesberg — Monachium

(z.d.) Memorandum pod adresem Pragi, przedstawione Chamberlainowi przez Hitlera w Godesbergu, było niezmiernie charakterystyczne dla metod taktycznych niemieckiej polityki zagranicznej. Dowiodło ono, że ustępstwa nie przyczyniają się zupełnie do jej umiarkowania, na odwrót, interpretowane są jako wyraz słabości partnera i wywołują nowe żądania, stawiane podwójnie kategorycznie. W Berchtesgaden, jak dowiedzieliśmy się z exposé Chamberlaina w Izbie Gmin, Hitler domagał się od Anglii i Francji uznania prawa Niemców czechosłowackich do stanowienia o sobie. Było to pośrednie domaganie się uznania konieczności rewizji granicy Czechosłowacji z Niemcami. Po konferencji w Berchtesgaden prasa francuska i angielska w zbytniej gorliwości rzuciła się do uzasadniania potrzeby i słuszności takiej rewizji i zaczęła się rozwodzić szeroko, że ponad wszystkim góruje konieczność utrzymania pokoju; rządy francuski i brytyjski poszły po tej samej linii. Hitler poczuł, że ma przed sobą miękki grunt i przywitał Chamberlaina w Godesbergu słowami ultimatum, w którym zagadnienie prawa samostanowienia Niemców w Czechosłowacji miało już formę zakreślonych na mapie nowych granic.

Memorandum godesbergskie miało inny jeszcze, głęboki wyraz psychologiczny. Był to d y k t a t, taki sam, jaki Niemcy otrzymały w Wersalu. Nie można oprzeć się wrażeniu, iż poza swą treścią ściśle mocarstwową polityka zagraniczna Hitlera ma na celu uwolnienie odczucia narodu niemieckiego od kompleksu wersalskiej klęski, a to przez zadanie analogicznej klęski zwycięzcom z roku 1919. Lecz pomiędzy rokiem 1919 a 1938 zachodziła poważna różnica, której Hitler zdawał się zupełnie nie brać pod uwagę. Przyjęcie dyktatu oznacza uznanie definitywnej własnej porażki, tymczasem do dnia konferencji w Monachium kryzys czechosłowacki pozostawał w zawieszeniu, nie mogło być jeszcze mowy o niczyjej porażce, szczególnie o porażce Anglii i Francji, stojących za plecami Pragi. W rezultacie więc w Monachium Hitler musiał odstąpić od swego dyktatu godesbergskiego, niewątpliwie pod wpływem rad Mussoliniego.

*

Sposób załatwienia sprawy czechosłowackiej przez konferencję czterech wielkich mocarstw i wspólna deklaracja Chamberlaina i Hitlera opublikowana w dniu podpisania układu w Monachium wywołały w Paryżu i Londynie pewne obawy. Charakterystyczne jest, że wykluczenie Sowietów z obrad nad rozwiązaniem problemu czechosłowackiego wzbudziło zastrzeżenia zarówno czynników lewicowych jak i prawicowych. W Paryżu i w Londynie przyjęto z aprobatą oświadczenie ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, złożone 3 października w Izbie Wyższej, wyjaśniające pozycję rządu brytyjskiego w stosunku do Sowietów. W krytycznych dniach kryzysu — wyjaśnił lord Halifax — chodziło o to, żeby działać szybko i ścieśniać możliwie zakres dyskusji. Otóż można było się spodziewać, że Niemcy i Włochy przeciwstawią się wszelkim sugestiom zaproszenia Sowietów do współpracy nad rozwiązaniem zagadnienia czechosłowackiego, skutkiem czego rządy angielski i francuski zrezygnowały z ich współpracy. Nie oznacza to jednak, żeby Anglia i Francja miały w przyszłości nie kontynuować swej dotychczasowej polityki porozumienia z wielkim mocarstwem wschodnio-europejskim. Powód tych obaw i wyjaśnień jest zrozumiały: izolacja Sowietów w chwili, kiedy Niemcy okroiły i zneutralizowały Czechosłowację, może doprowadzić do porozumienia niemiecko-sowieckiego.

Obawy wzbudziło również spotkanie Chamberlaina z Hitlerem po podpisaniu układu w Monachium. Francja odczuła to jako wyraz pewnego zniechęcenia premiera brytyjskiego do ścisłej z nią współpracy. W Anglii, w kołach laburzystów i liberałów, spotkanie to obudziło zastrzeżenia ze względów ideologicznych, wyrażających się w obawie przed zbyt bliskim związaniem się Anglii z państwami totalnymi, na niekorzyść współpracy z Francją. Po niezaprzeczonym afroncie, jakim było przedstawienie przez Hitlera Chamberlainowi w Berchtesgaden ultimatum dla Pragi, po pełnych goryczy słowach premiera brytyjskiego w jego exposé w Izbie Gmin 27 września, kiedy nawet czynił aluzję do pragnienia Hitlera panowania nad światem, takie nagłe zamanifestowanie zaufania do kanclerza Rzeszy jest faktem nieco dziwnym. Nie można również nie budzić wątpliwości wyprzedzanie ze strony Chamberlaina Francji na drodze do porozumienia z Niemcami już w dniu, kiedy osiągnęło się pierwszy konkretny rezultat całkowicie uzgodnionej i bez zastrzeżeń jednomyślnej polityki osi Londyn — Paryż. Wprawdzie list Chamberlaina do Daladiera, napisany dla zatarcia niekorzystnego wrażenia, jakie wywołała deklaracja Chamberlain — Hitler, podkreśla trwałość osi państw demokratycznych, jednak pozostaje wrażenie, że Chamberlain nie będzie się oglądał na interesy francuskie, gdy otworzą się dla Anglii perspektywy korzystnego dojścia do porozumienia z mocarstwami osi totalnej. We Francji i w kołach opozycji w Anglii panuje również niezadowolenie z otwierających się po konferencji w Monachium możliwości odbudowania paktu czterech.

Układ podpisany w Monachium może mieć bardzo poważne następstwa dla dalszego rozwoju sytuacji międzynarodowej. Tych jego możliwości oddziaływania nie należy jednak przeceniać, w każdym zaś razie należałoby unikać zbytniego zagłębiania się w analizę hypotez tu i owdzie stawianych. Choć wszystko wskazuje, że spotkanie szefów rządów czterech wielkich mocarstw zainicjowało nową ewolucję, to jednak ta ewolucja może rozwinąć się w kierunku zupełnie nieoczekiwanym, nie związanym bezpośrednią przyczynowością z obecną sytuacją. Jest zupełnie prawdopodobne, że po doniosłych wydarzeniach ostatnich tygodni cztery mocarstwa zachodnie poddadzą swą politykę zagraniczną zasadniczej rewizji, której wyniku niepodobna dziś przewidzieć.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Powrót Zaolzia

(aa). Pierwsze dni triumfu to przede wszystkim okres sporządzania bilansu zysków. Z licznych, choć ubogich w źródłowe i dokładne dane artykułów, zamieszczonych na łamach prasy codziennej, dowiedzieli się już ci nawet, co niezbyt w strukturze gospodarczej Śląska Zaolzańskiego się orientowali, że wraz z powrotem tej ziemi w granice Rzeczypospolitej weszło obfitujące w tłusty, nadający się do koksowania węgiel Zagłębie Karwińskie, że w zajętym przez wojska polskie Trzyńcu znajdują się wielkie zakłady hutnicze i walcownicze, że wreszcie na terenie obu powiatów: cieszyńskiego i frysztackiego, pracuje rozwinięty przemysł chemiczny, przetwórczy, metalowy, drzewny i tkacki.

Nie powtarzając znanych powszechnie rozważań na temat wnoszonych przez Śląsk Zaolzański aktywów, warto raczej naszkicować problemy związane z włączeniem tego obszaru do gospodarstwa polskiego. W tym wypadku nie wystarczy jednak mechaniczne podsumowanie wszystkich cennych pozycji. Kopalnie Zagłębia Karwińskiego, usadowione w Łazach, Dąbrowie, Orłowej, Pietwałdzie, Karwinie, Polskiej Ostrawie i kilku innych miejscowościach dostarczają przeszło 7½ miliona ton węgla rocznie, wytwórczość surówki jednego tylko koncernu Berghutte osiągnęła w ub. roku 485 tys. ton, podczas gdy cała produkcja surówki wyniosła w tym samym okresie czasu w Polsce 724 tys. ton, a wydobycie gęgla 36,2 miln. ton. Zestawienie tych paru cyfr daje jakie takie pojęcie o potencjale gospodarczym przyłączonych ziem, niewspółmiernym, jeśli brać przeciętną polską, do ich obszaru. Dodać do tego trzeba, że stopa życiowa, możność zaspakajania potrzeb przez miejscową ludność, są ustabilizowane na dość wysokim poziomie.

Na tle tych faktów powstaje napozór paradoksalne stwierdzenie, że integralne zespolenie Śląska z resztą kraju wymaga zachowania i kultywowania tych jego odrębności. Wyrównywanie może się odbywać jedynie przez podnoszenie poziomu w pozostałej części państwa. W tłumaczeniu na język praktyczny wyrazić to można postulatem utrzymania dotychczasowego napięcia życia gospodarczego na tym obszarze, a więc przede wszystkim dostarczeniem odpowiednich rynków zbytu dla jego produkcji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wielu dotychczasowych odbiorców odpadnie, czy to ze względów politycznych, czy też po prostu na skutek organizacyjnych przemian, jakie zajdą po włączeniu Zaolzia do nowego obszaru celnego. Zapewnienie nowych rynków nie będzie rzeczą łatwą. — Eksportowi polskiemu brak w chwili obecnej odpowiedniej prężności, rynek wewnętrzny nie jest aż tak elastyczny. Dla ilustracji warto przytoczyć choć jeden przykład. — Według planu opracowanego w roku ubiegłym przez Konwencję Hutniczą, zdolność produkcyjna naszego hutnictwa miała być podwyższona w czteroleciu 1937—1940 z 1350 tys. ton stali, do 2 miln. ton, a więc o ilość nieco mniejszą nawet niż ta, którą wniosą nam huty śląskie. W wywiadzie z dn. 4 b. m. Min. Roman podał bowiem, że stalownie Żaolzia wyprodukowały w 1937 roku 700 tys. ton stali. Będą więc potrzebne specjalne wysiłki, aby część tej produkcji umieścić za granicą. Obok zmian w naszym eksporcie, szereg przesunięć zajdzie niewątpliwie w imporcie. Największy wpływ będzie miał bodaj fakt, że huty trzynieckie pracują na rudach obcych. Natrafiamy na czuły problem dewizowy...

Sprawy wyżej przedstawione nie wyczerpują oczywiście zagadnienia. Są wycinkiem, który ma jedynie wskazać na wagę i zakres zmian, jakie będą musiały zajść w naszej gospodarce. Obok tych problemów strukturalnych wyrasta szereg nie mniej ważnych administracyjno-gospodarczych, walutowych, skarbowych. Trudno je ująć w jakiś wspólny mianownik, jednak w stosunku do pierwszych i drugich należy wysunąć zasadę, że ponad precyzję wykonania ważniejsza jest w chwili bieżącej szybkość rozwiązań. Nie wolno w żadnym wypadku dopuścić do wytworzenia się po drugiej stronie Olzy impasu gospodarczego, który mógłby się stać największą przeszkodą na drodze naturalnego, szybkiego i łatwego zlania się tych ziem z resztą Rzeczypospolitej w jedną zwartą całość.

Bawełna przez Gdynię

(aa). W zamęcie ostatnich dni przeszła prawie niepostrzeżenie, poza nadmorską i fachową prasą, inauguracja arbitrażu bawełnianego w Gdyni. Uroczystość ta zamknęła pierwszy okres usamodzielniania się naszego handlu importowego bawełną. Do roku 1929 był on całkowicie opanowany przez domy handlowe niemieckie i angielskie i w głównej swej masie szedł przez Bremę, będącą stałym i doświadczonym ośrodkiem importu tego surowca. Dopiero na przełomie lat 1929 i 1930 zaczęła się żmudna praca przestawiania wwozu bawełny na Gdynię, wymagająca obok budowy specjalnych urządzeń portowych, również szeregu prac organizacyjnych, jak przede wszystkim nawiązania regularnej komunikacji z portami bawełnianymi, wywalczenie jednolitych z Bremą stawek frachtowych, dalej zorganizowania ekspedycji i transportu z Gdyni, dostosowania opłat i taryf itd. itd.

Nie trzeba dodawać, że wszystkie te prace odbywały się, zwłaszcza po pierwszym okresie lekceważącego wyczekiwania, w ogniu walk konkurencyjnych z dotychczasowymi ośrodkami tranzytu, które nie chciały rezygnować z tak poważnego klienta, jakim był i jest rynek polski. Największe jednak opory, rzecz charakterystyczna, przezwyciężać trzeba było wewnątrz kraju.—Fabrykanci łódzcy, przyzwyczajeni do Bremy i z nią związani, przez długi czas nie chcieli zgodzić się na wyrzeczenie się niemieckiego pośrednictwa, wysuwając szereg argumentów, mających wykazać szkodliwość i nierealność takich pomysłów. Dopiero gdy po perswazjach przyszły zarządzenia władz i w zetknięciu z praktyką prysły urojone zastrzeżenia, Łódź musiała ulec.

Dziś na stoczniach angielskich budują się dwa wielkie motorowce, które pod polską banderą obsługiwać będą linię bawełnianą: Zatoka Meksykańska — Gdynia, magazyny bawełniane w porcie gdyńskim mają 32.000 m² powierzchni, a import bawełny osiągnął w r. 1937 93.013 ton. Przeładunek w bieżącym roku wykazuje dalszy wzrost, tak, że powinna być przekroczona do końca grudnia cyfra 100.000 ton. Otwarty obecnie Arbitraż bawełniany ułatwi bezwątpienia nie tylko dalsze usamodzielnienie importu bawełny, lecz stanie się punktem wyjścia do objęcia przez Gdynię roli pośrednika dla krajów naddunajskich i bałtyckich.

Dotychczasowe prace nad organizacją importu bawełny są ważne przede wszystkim ze względu na rezultaty, jakie zostaną osiągnięte poprzez oszczędności dewizowe dla naszego bilansu handlowego i płatniczego. Równocześnie jednak raz jeszcze obalają pracowicie konstruowaną legendę o prężności naszej inicjatywy prywatnej. Pionierską rolę odegrało tu przede wszystkim Ministerstwo Przemysłu i Handlu oraz Bank Gospodarstwa Krajowego. Natomiast czynniki prywatne w najtrudniejszym okresie początkowych wysiłków hamowały pracę, trzymając się kurczowo starych szablonów i interesów, choć te, które rysowały się na horyzoncie, również z ich indywidualnego punktu widzenia zasługiwały zarówno na uwagę jak i na realizacyjny wysiłek.

Chałupnictwo

(aa). W podwójnym, za sierpień i wrzesień, numerze „Dróg Polski" (8/9), ukazał się ciekawy artykuł F. Trojana p. t. „Chałupnictwo a przemysł wielkofabryczny w Polsce i Stanach Zjednoczonych". Na tle doświadczeń amerykańskich i innych państw uprzemysłowionych autor dochodzi do wniosku, że rozwój chałupnictwa przeszkadza w uprzemysłowieniu Polski. Chałupnictwo bowiem jako takie stanowi poważną przeszkodę w osiągnięciu wyższych form rozwoju przemysłu fabrycznego, posiadając wiele atutów o sile rozstrzygającej w walce konkurencyjnej.

Szerzej swój pogląd uzasadnia autor dowodząc, że w naszym układzie stosunków gospodarczych na chałupnictwo patrzy się jako na metodę produkcji, dzięki której można uruchomić wytwórczość jakiegoś artykułu „bez wydatku kapitału na urządzenia inwestycyjne, a jednocześnie dostarczając możności pracy i zarobku warstwom ludności najbardziej dotkniętej bezrobociem". Zdaniem autora, ma to wszelkie pozory prawdy, na krótką jednak metę. Jeśli się bowiem spojrzy nieco dalej, wówczas uwydatnią się zgubne następstwa podobnego nastawienia. — Zapóźnieni i tak w rozwoju przemysłowym, przy obecnym tempie industrializacji na całym świecie, nie wydążymy w wyścigu z zagranicą.

Dalej na rynku wewnętrznym chałupnictwo będzie silnie konkurowało z młodym naszym przemysłem wielkofabrycznym. Natomiast konkurencyjność jego wobec masowej produkcji zagranicznej będzie bardzo słaba i walka z nią będzie mogła się toczyć jedynie przez obniżkę zarobków i pogorszenie warunków pracy chałupniczej. Sprzyjać to będzie dalszemu cofaniu Polski w rozwoju postępu technicznego zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, gdyż obniżanie stopy życiowej mas robotniczych jest równoznaczne z stopniowym eliminowaniem ich z szeregów konsumentów produkcji przemysłowej.

Tezy autora, choć nieco zbyt symplicystycznie ujęte, są interesujące z tego przede wszystkim względu, że wśród wielu polityków i działaczy społeczno-gospodarczych zakorzeniony jest pogląd o zbawiennej roli chałupnictwa dla przyszłości gospodarczej Polski. Nie znaczy to, oczywiście, że należy przyjąć drugą krańcowość — koncentrację bez granic i zastrzeżeń. Szkoda, że p. Trojan nie poruszył w swym artykule tych form produkcji, które znajdują się wewnątrz tych niezupełnie zresztą jedno-płaszczyznowych granic. Stanowiłoby to wówczas ciekawy materiał do dyskusji.

O NAS U OBCYCH

Sprawa Śląska Zaolzańskiego

Akcja Polski na rzecz powrotu Śląska Zaolzańskiego do Macierzy spotkała się w opinii francuskiej — generalnie rzecz biorąc — z oceną ostro nieprzychylną. Powtórzyła się tutaj historia sprzed kilku miesięcy, kiedy to w czasie konfliktu polsko-litewskiego opinia francuska nie była również zdolna zająć obiektywnej i rzeczowej postawy wobec zachodzących wypadków i wydarzeń, oceniając je na swój sposób i wyłącznie pod kątem niezmiernie płytko pojmowanych doraźnych interesów i potrzeb Francji. Analogiczne zjawisko zaobserwowaliśmy w czasie trwania konfliktu polsko-czeskiego oraz w końcowej fazie tego konfliktu, przypadającej na ostatnie dni września.

Spośród stosunkowo mało życzliwych — jak to podkreśliliśmy wyżej — wystąpień prasy francuskiej, poświęconych tej sprawie, na tym większą uwagę zasługuje życzliwa ocena postulatów polskich, jaka znalazła się na łamach dziennika **„Le Journal"**. Oto w najcelniejszych wyjątkach wywody tego pisma, nie pozbawione — zwłaszcza w części końcowej — głębszej aktualności politycznej z punktu widzenia polityki europejskiej:

„Żądania polskie nie dotyczą tylko terenu narodowościowego, ale zawierają też pewien sens polityczny. Zadań tych jest dwa: jedno, o którym się mówi, drugie, o którym się milczy, mimo, że jest ono niemniej ważne.

— To o którym się mówi, to Śląsk Cieszyński, stara historia, która niemało przysporzyła Czecho-Słowacji kłopotów. Księstwo Cieszyńskie stanowi część Śląska i zaludnione jest przez Czechów, Niemców i Polaków przy zdecydowanej przewadze ostatnich. W chwili runięcia monarchii habsburskiej Polacy i Czesi podzielili się uczciwie częściami tego kraju. Zawarto układ z 5 listopada 1918 r. z zastrzeżeniem, że ostateczne uregulowanie sprawy przez rządy Warszawy i Pragi nastąpi później.

— W trzy miesiące potem Czesi skorzystali z kłopotów Polski, likwidującej zamieszki na Ukrainie i pewne trudności z Niemcami na Pomorzu, i zagarnęli przy pomocy wojska polską część Cieszyńskiego, okupując ją 23 stycznia 1919 r. Zdecydowano więc 3 lutego 1919 r. oddać załatwienie tej sprawy Najwyższej Radzie Konferencji Pokojowej, która 27 września 1919 r. nakazała odbycie plebiscytu dla załatwienia nieporozumienia. Jednak w rok później Polskę najechali bolszewicy. Czesi, nie zadawalając się tym, że wstrzymywali dowóz broni, uzyskali od Konferencji w Spaa zatwierdzenie dokonanego zaboru bez plebiscytu. Oto początek krzywdy Polski. Układ z 1925 r. o mniejszościach, który Warszawa wypowiedziała niedawno, był tylko chwilowym porozumieniem. Polska domaga się teraz nie czego innego, jak tylko powrotu do układu z 1918 roku.

— Drugie żądanie Polski, o którym się nie mówi, posiada inny charakter. Polega ono na dążeniu do ustalenia bezpośredniej granicy między Polską a Węgrami przez podział Rusi Podkarpackiej, stanowiącej część wschodnią Czecho-Słowacji. Dzięki Rusi Podkarpackiej Czechosłowacja graniczy z Rumunią. Ruś Podkarpacka oddziela też Polskę od Węgier.

„Tego właśnie chcieli twórcy traktatu pokoju, pragnąc przede wszystkim doprowadzić do połączenia między Pragą a Bukaresztem i nie wahając się w tym celu pogwałcić zasady narodowościowej, w zasadzie bowiem Ruś Podkarpacką zamieszkują Rusini i Węgrzy. Fakt ten przyczynił się do tego, że w traktacie pokojowym przewidziano dla Rusi Podkarpackiej autonomię, która jednak nigdy nie została wprowadzona w życie.

— Jest jeszcze w tym wszystkim rzecz bardzo ciekawa. Oto postulaty Polaków i Węgrów są popierane przez Włochów, którzy zawsze marzyli o tym, aby między Węgrami i Polakami istniało ścisłe przymierze dla trzymania Niemców na wodzy. Rzesza patrzy na tę sprawę krzywym okiem. Chce ona posłużyć się uzależnioną od siebie Czecho-Słowacją do nawiązania bezpośredniej łączności z Rumunią, jej zbożem i jej naftą.

— Za tymi wszystkimi manewrami dostrzec więc możemy posunięcia z zakresu wielkiej polityki równowagi. Jest teraz rzeczą Francuzów zastanowić się, czy chcą grać kartami Niemiec, czy też mieć za partnerów: Włochy, Węgry i Polskę. Jest to piękna partia do rozegrania".

W tym samym życzliwym dla Polski tonie utrzymane są również wywody deputowanego Gastona Martin'a, który na łamach radykalnej **République** zamieścił artykuł p. t. „Nasza sojuszniczka Polska". Kto we Francji — zapytuje Martin — nawet wśród czynników kierujących państwem, wie o tym, że Francja posiada formalny traktat sojuszu z jednym tylko krajem w Europie i że tym krajem jest Polska? Różnym narodom — ciągnie dalej Martin — dyplomacja francuska okazywała serdeczność i przychylność, posuniętą aż do zaślepienia, traktując równocześnie narody inne z bezwzględnością albo ironią, która mogła wykończyć nawet najtrwalsze sympatie. Tak było właśnie w stosunku do Polski. Dziś nie tylko rząd polski zaczyna zajmować stanowisko nam wrogie, lecz Polacy zaczynają już patrzeć niechętnie na tych Francuzów, których nie tak dawno jeszcze przyjmowali z otwartymi rękoma. Jeśli owym Francuzom sprawia to ból i przykrość, to, niestety, nie można się na to zbyt uskarżać, gdyż w gruncie rzeczy płacą oni za niekonsekwencje, popełnione przez ich ojczyznę. Polska związała się z Francją traktatem sojuszu, którego nigdy do tej pory nie pozwalała kwestionować. Nie Polska pierwsza w tych ostatnich dniach zaczęła mówić o ewentualności zerwania sojuszu. W zakończeniu swych wywodów Martin — poddawszy uprzednio krytyce stanowisko francuskich kół politycznych wobec postulatów Polski w sprawie Śląska Zaolzańskiego — konkluduje jak następuje: „Trudno nam się wytłumaczyć z tego, że gorzej chcieliśmy potraktować naszą sojuszniczkę od 20 lat, niż innych".

*

Prasa niemiecka zajęła wobec sprawy Śląska Zaolzańskiego stanowisko życzliwe. Z głosów prasowych na powyższy temat na uwagę zasługuje wystąpienie **Berliner Tageblattu** (nr. 451—52), który w artykule wstępnym p. t. „Od Warszawy do Rzymu" bardzo mocno podkreślił prawa Polski i Węgier do uregulowania spornych z Czechosłowacją spraw w taki sam sposób, w jaki zostały załatwione sprawy Niemców sudeckich. Inne dzienniki i periodyki niemieckie ustosunkowały się do postulatów polskich w powyższej sprawie w sposób co najmniej poprawny.

Zdecydowanie antypolskie wystąpienia kilku dzienników i polityków francuskich z ostatnich dni dały organowi partii hitlerowskiej w Gdańsku **Der Danziger Vorposten** (nr. 230) — asumpt do podkreślenia niewłaściwości w ustosunkowaniu się Francji wobec Polski. Pismo podkreśla, że niespodziewane antypolskie wystąpienia francuskie z ostatnich dni podziałały na Polaków jak zimna kąpiel. Niezrozumiałe to stanowisko Francji — ciągnie dalej pismo — było o tyle nie na miejscu, że w tym samym czasie sąsiad Polski — Niemcy — wykazał dla postulatów polskich nie tylko pełne zrozumienie, ale postulaty te poparł w całej rozciągłości. Ze strony francuskiej tymczasem nikt nie uważał za stosowne słusznych żądań Polski poprzeć — co więcej: różni politycy francuscy dopuścili się nawet ciężkiej obrazy narodu i państwa polskiego. Opinia polska zareagowała na te wystąpienia w sposób ostry i zdecydowany. Pismo kończy swoje wywody uwagą, że powyższe niewłaściwe wystąpienia polityków francuskich (np. zlekceważenie polskiego wysiłku zbrojnego z r. 1920) przyczynić się mogą do dalszego pogłębienia niechętnych dla Francji nastrojów nawet wśród tych kół, które dotąd były do niej nastawione przyjaźnie.

Polska nad Bałtykiem

Zainteresowanie państw zachodnioeuropejskich dla polityki zagranicznej jest w dalszym ciągu żywe i duże. Specjalną uwagę zwraca się tam na zagadnienie t. zw. Trzeciej Europy, koncepcji politycznej, uważanej za jedno z większych i śmielszych pociągnięć dyplomacji polskiej z lat ostatnich. Wychodzący w Strasburgu dziennik **Der Elsässer** stwierdza w swoich rozważaniach politycznych, że owa Trzecia Europa (pismo wlicza do państw, wchodzących w skład zespołu „Trzeciej Europy" również państwa grupy Oslo) stanowi w dzisiejszym układzie życia politycznego Europy niesłychanie doniosły współczynnik, o tyle ważny, że grupuje on wszystkie te państwa, które nie mają ochoty angażować się w rozgrywki, toczone między ustrojami totalistycznymi z jednej, a demokracjami z drugiej strony. Polityka zagraniczna Warszawy — a z nią również i polityka wspomnianych wyżej państw — zmierza zatem do utrzymania swej neutralności i niezależności od takich, czy innych posunięć bloków pozostałych.

Początki koncepcji Trzeciej Europy — podkreśla dalej pismo — biorą swój początek z decyzji min. Becka z września 1934 r., kiedy to wypowiedziane zostały zobowiązania mniejszościowe, nałożone na Polskę w wyniku podpisania przez nią Traktatu Wersalskiego. Lata następne, to okres nawiązywania przez min. Becka żywych kontaktów politycznych z mężami stanu państw północno-europejskich (w r. 1934 wizyta w Helsinkach, 1935 — Sztokholm, 1937 — Ryga i Tallin, 1938 — Oslo). Kontakty utrwaliły się a stosunki pogłębiły dzięki przemianom, jakie równocześnie zaszły na forum Ligi Narodów, która z roku na rok coraz bardziej traciła wpływ na bieg wypadków, rozgrywających się na kontynencie. Wspólny front wszystkich tych państw zarysował się mocniej po opuszczeniu Ligi Narodów przez Japonię, Niemcy i Włochy, kiedy to ogólnym stało się przeświadczenie o konieczności zmiany metod działania Ligi Narodów. Dyplomacja polska — powiada pismo — należycie oceniła konsekwencje, jakie wypłynęły z faktu opuszczenia przez Niemcy Ligi Narodów i przeprowadziła w tym celu odpowiednią akcję polityczną w państwach północno-europejskich. Okres ostatnich 5 lat dał wyjątkowo piękne rezultaty tej kolaboracji polsko-nordyckiej i przyczynił się poważnie do spopularyzowania koncepcji „Trzeciej Europy". Sens nowego porządku politycznego na tym obszarze polega na tym, że zainteresowane państwa podejmą osobiste decyzje we wszystkich sprawach, które je żywo obchodzą.

W należytym ułożeniu się stosunków w rejonie nadbałtyckim — kończy pismo — jest Polska zainteresowana w tym samym stopniu co inne państwa; obchodzą ją i obchodzić będą zawsze wszystkie sprawy, które miałyby jakikolwiek związek z Bałtykiem.

PRZEGLĄD PRASY

Zaolzie wróciło do Polski

Powrót Śląska Zaolzańskiego do Polski stanowi w dziejach naszych wydarzenie na miarę historyczną. Skończyła się w ten sposób ciężka wędrówka ludu zaolzańskiego do Polski i wróciła ziemia macierzysta i bogata, przynosząc ze sobą wiano, pomnażające w sposób wybitny zasób skarbów naturalnych Rzeczypospolitej. Dokonał się akt sprawiedliwości dziejowej, naprawiającej krzywdy, jakie uczynione zostały Polsce w dniach jej słabości.

Ale na tym nie wyczerpuje się wymowa radosnego faktu powrotu Śląska Zaolzańskiego na łono Macierzy. Oto — jak podkreśla POLSKA ZACHODNIA (nr. 271) —

„...dumą i radością muszą nas napełnić wszystkie okoliczności, które towarzyszyły przesądzeniu powrotu, ostatnie dni walki o Śląsk Zaolzański, imponująca postawa całego narodu polskiego, a przede wszystkim sposób postawienia i przeprowadzenia żądań przez Rząd Polski. Małoduszni łudzili się, że Śląsk Zaolzański przypaść nam może w drodze wspaniałomyślnego podarunku tych czy innych państw, które zasiadły w Monachium, do stołu obrad. Złudzeń tych nie podzielały czynniki, posiadające w rękach odpowiedzialność za losy naszego Państwa i rozwój wypadków ostatnich dni; nie podzielał tych złudzeń Rząd Polski. Dowodzi tego spokojne i pełne godności oświadczenie Rządu po konferencji monachijskiej: „Rząd Polski nie oczekiwał, by kto inny, niż on sam, miał brać na siebie ciężar technicznego załatwienia polskich słusznych żądań".

Sprawę Śląska Zaolzańskiego załatwiliśmy sami w bezpośrednim kontakcie i rokowaniach z rządem czeskim. Zasada nic o nas bez nas święci swój wielki triumf, największy może od czasu jej postawienia. Jakiż ogromny sukces dla prestiżu Polski na terenie międzynarodowym!"

Zwycięstwo nie było jednak łatwe. Odzyskanie Śląska Zaolzańskiego nie nastąpiło wcale ni z tego ni z owego, lecz wymagało ciężkiej, szarpiącej nerwy pracy naszej dyplomacji, zmuszonej działać — jak to przypomina KURJER PORANNY (nr. 273) — w niezwykłym tempie zdarzeń i oszałamiających faktów.

„W sobotę, gdy ważyły się losy Śląska, dyplomacja nasza musiała przetrzymać huraganowy ogień najróżniejszych interwencyj. Mimo cierpliwości, okazywanej przez Polskę w zatargu z Pragą, niektóre mocarstwa usiłowały wywierać jak najsilniejszą presję na rząd polski, by go skłonić do odroczenia sprawy, bądź też do skierowania jej na drogę mediacyjną.

Jedni straszyli nas Sowietami. Inni powoływali się na Monachium, nie rozumiejąc widać, że odpowiedzią naszą na układ monachijski był Śląsk i sposób, w jaki ostatecznie sprawa ta została przez Polskę postawiona.

Z propozycją mediacyjną wystąpił ambasador Wielkiej Brytanii, poparty przez ambasadora Francji. Przyjmując tę interwencję, dyrektor gabinetu ministra spraw zagranicznych oświadczył w imieniu ministra Becka, że Polska uważa propozycję Wielkiej Brytanii za nieaktualną.

Huraganowy ogień sprzeciwów został wytrzymany. Śląsk jest nasz!

Ogólnie stwierdzić można, że posunięciami swymi Polska zdobyła sobie nowy zapas kapitału moralnego i politycznego, wzmacniającego poważnie jej autorytet na forum międzynarodowym. I tutaj słusznie podkreśla cytowany już wyżej „Kurier Poranny":

„...we współczesnej dobie brutalnego realizmu, doświadczenia dni ostatnich muszą stać się dla nas wszystkich nowym dowodem, że droga do sukcesu politycznego i do rozwoju wiedzie tylko przez twardy, rozumny wysiłek, nieugięte przełamywanie trudności, wiarę we własne siły i — odwagę".

Wybory

Rozwój wypadków na arenie międzynarodowej odsunął na plan dalszy sprawę wyborów do izb ustawodawczych. Z chwilą jednak, gdy doszło do wyjaśnienia się horyzontów wielkiej polityki, opinia nasza zaczyna wracać do interesujących ją w niemniejszym stopniu spraw i wydarzeń wewnątrz kraju. Sprawa wyborów aktualizuje się znowu z niemałą wyrazistością i siłą.

ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY (nr. 273) dochodzi w swoich rozważaniach przedwyborczych do wniosku, że wszystko przemawia za wzięciem przez koła opozycyjne udziału w wyborach i to zarówno sytuacja zewnętrzna, jak też i sytuacja polityczna w kraju. Pismo stwierdza tutaj niekonsekwencję w poczynaniach opozycji, która — jego zdaniem — posiada w chwili obecnej najidealniejsze warunki do przeprowadzenia swoich postulatów politycznych, co mogło się stać przede wszystkim dzięki decyzji P. Prezydenta Rzplitej, umożliwiającej ewolucję ku normalnym stosunkom.

„Ale jak właściwie dojść do tych normalnych stosunków!

Było jasne, że stary Sejm nie podpisze wyroku śmierci na siebie i ordynacji nie zmieni.

Z drugiej strony wszystkie stronnictwa polskie, działające legalnie, domagają się poszanowania praw — zaczem nie mógł wchodzić w rachubę żaden akt z ich strony, który by miał charakter rewolucyjny, — ale tem mniej jeszcze można było myśleć o jakimś zamachu w tym kierunku ze strony czynników decydujących, a więc tych, które przecież stoją na straży praworządności i składały przysięgę na Konstytucję.

Z tych też powodów oktrojowanie nowej ordynacji aktem woli głowy Państwa nie było absolutnie możliwe.

Ponieważ zaś P. Prezydent R. P. nie może także w myśl Konstytucji w czasie bezsejmowym zmieniać drogą dekretu ordynacji wyborczej, gdyż jest to wyraźnie wyłączone z Jego pełnomocnictw — pozostawała jedna jedyna droga: rozwiązanie starego Sejmu i rozpisanie wyborów na podstawie starej ordynacji z tym, że w orędziu Prezydenta wskazano zmianę ordynacji, jako zadanie przyszłych Izb.

Wszystko to jest jasne, proste i nie podlega właściwie dyskusji. Dlatego też przeciętny obywatel nie może zrozumieć celu zalecanej mu absencji wyborczej. Powiada on sobie: chcą zdrowego Sejmu — a zdrowy Sejm będzie wtedy, gdy zmieni się ordynacja; skoro zaś ordynację zmienić może tylko Sejm, wybrany na tych zasadach, które dziś są prawem, to trzeba wziąć udział w wyborach, aby umożliwić ewolucję w przyszłości".

ZACZYN (nr. 31) uważa, że zasadniczy opór przeciwko braniu udziału w wyborach tkwi w sztabach partyjnych, przeprowadzających różne kalkulacje polityczne bez oglądania się na doły.

„Straszliwy przerost środka nad celem stwarza cały klan zawodowych „ideowców", żyjących z przelewania mętnej wody politycznej, powstaje typowa, najprawdziwsza biurokracja partyjna, spekulująca na grze sił ideowych, lub sukcesach materialnych linii społeczno - realizacyjnej, biurokracja, która zatraca kontakt z dołami swoich członków, rządzi się własnymi prawami, stwarza własną, odrębną obyczajowość i pilnuje swych własnych interesów".

I dalej jeszcze:

„Biurokracje wszystkich, najbardziej różnych partii mają pewne interesy wspólne. Jak ognia boją się tych przede wszystkim reform, które mają biurokracjom jako takim, bez względu na barwę ideową, odebrać rząd dusz i klucz do stanowisk publicznych. Powstaje zmowa biurokracji, tworzących wspólny front, uzgadniających swe posunięcia, broniących swych wspólnych interesów. Stosunek do wyborów sejmowych to właśnie front biurokracji partyjnych wszystkich odcieni, nie tylko przeciw państwu i jego organom, ale przeciw zdobyczom i osiągnięciom społecznym swych własnych ruchów".

NUMER POPRZEDNI 37—38 ZAWIERA:

HISTORIA MŚCI SIĘ
WYBORY DO SEJMU I SENATU R. P.
Zbigniew Domaniewski
DYNAMIZM JAPONII 2)
STULECIE ADAMA ASNYKA
Remigiusz Bierzanek
MOMENTY NARODOWOŚCIOWE W GOSPODARCZEJ WSPÓŁPRACY POLSKI Z ZAGRANICĄ 3)
Jerzy Łużyc
KSIĄŻKA MOSDORFA
DZIAŁY:
Notatnik zagraniczny — O nas u obcych
Notatnik gospodarczy — Przegląd prasy
Wśród książek

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., ½ strony 300 zł., ¼ strony 160 zł., ⅛ strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.